

U szczytu sławy. Wpływ historii na ludzkie losy podczas XVII Festiwalu Polskich Filmów w Austin.

Podczas tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów w Austin będzie można zobaczyć kilka filmów, opowiadających historię wybitnych postaci polskiego sportu, sceny czy sztuk pięknych, na których wydarzenia historyczne miały wielki wpływ. Będąc u szczytu sławy, sięgały po broń, aby stanąć w obronie ojczyzny, ginęły w dziejowej zawierusze, poświęcały się dla innych, bądź

emigrowały. Kim by byli, gdyby nie wojny, niewole, zesłania?
Twórcy filmowi próbują przybliżyć ich losy.

*

„Marusarz. Tatrzański orzeł.”



„Marusarz. Tatrzański orzeł”, reż. Marek Bukowski, wyk.
Mateusz Janicki, Olga Szostak, Krzysztof Szczepaniak, Marcin
Stepniak, Robert Czebotar

54 min., biografia, historia, 2021 r.

Reżyseria: Marek Bukowski

Scenariusz: Marek Bukowski, Maciej Dancewisz

Zdjęcia: Artur Zdrał

Muzyka: Kris Górski

Obsada: Mateusz Janicki, Marta Maria Wiśniewska, Mateusz Bożek, Janka Cholewa, Olga Szostak



„Marusarz. Tatrzański orzeł”, reż. Marek Bukowski, wyk.
Mateusz Janicki, Olga Szostak, Krzysztof Szczepaniak, Marcin
Stepniak, Robert Czebotar



„Marusarz. Tatrzański orzeł”, reż. Marek Bukowski, wyk.
Mateusz Janicki, Olga Szostak, Krzysztof Szczepaniak, Marcin
Stepniak, Robert Czebotar

Jest to telewizyjny film fabularny opowiadający historię
Stanisława Marusarza, legendarnego skoczka narciarskiego i
prekursora polskich skoków narciarskich. Film przedstawia
historię jego życia, a także życie jego siostry Heleny,
utalentowanej narciarki, członka Ruchu Oporu, zamordowanej
przez hitlerowców w 1941 roku. Stanisław Marusarz jest nie
tylko znanym polskim skoczkiem narciarskim, ale także
wicemistrzem świata w 1938 w Lahti, czterokrotnym
olimpijczykiem, siedmiokrotnym uczestnikiem narciarskich
mistrzostw świata, a także podporucznikiem AK i kurierem
tatrzańskim. Od pierwszych miesięcy okupacji czynnie pracował
jako kurier Państwa Podziemnego i dostarczał korespondencję

na Węgry. W 1940 skoczył z drugiego piętra i uciekł z więzienia gestapo w Krakowie. Po wojnie był jednym z najdłużej aktywnych zawodników skoków narciarskich na świecie. Marusarz był gościem honorowym Turnieju Czterech Skoczni w sezonie 1965-1966. W wieku 53 lat stanął na słynnej Gross-Titlis-Schanze (Duża skocznia Titlis) i wykonał swój legendarny skok przez przeszkody ubrany w garnitur i krawat.

Informacja o filmie pochodząca od producenta.

*

*

„Bodo”

1 godz. 46 min., biografia, historia, muzyka, 2017 r.

Reżyseria: Michał Kwieciński

Scenariusz: Piotr Derewenda, Doman Nowakowski

Zdjęcia: Kamil Płocki

Muzyka: Atanas Valkov

Obsada: Tomasz Schuchardt, Antoni Królikowski, Agnieszka Wosińska, Mariusz Bonaszewski, Piotr Żurawski, Józef Pawłowski.



„Bodo”, reż Michał Kwieciński, na zdjęciu Tomasz Schuchardt



„Bodo”, reż Michał Kwieciński, na zdjęciu Tomasz Schuchardt i

Roma Gasiorowska

Czy może być lepszy sposób na zobrazowanie biografii gwiazdy kabaretowej i filmowej niż dramat muzyczny? Brokat, skandale, rycząca muzyka lat dwudziestych i niesamowita gra aktorska: film zawiera to wszystko i wiele więcej. Film jest opowieścią o życiu Eugeniusza Bodo – polskiej gwiazdy dwudziestolecia międzywojennego i przedstawia jego drogę do sukcesu. Jego kariera była międzynarodowa, podobnie jak jego pochodzenie. Ojciec Eugene’a był Szwajcarem, a matka Polką. W okresie międzywojennym Bodo był wielką gwiazdą Europy, był aktorem, reżyserem, producentem, biznesmenem i centralną postacią licznych plotek i skandali. Widzowie mogą śledzić jego trudne decyzje i życiowe wybory, na które składa się nie tylko ucieczka z domu, wczesne kroki na scenie w prowincjonalnym teatrze czy romanse, ale także relacja z zaborczą matką. Ponadto dramat zawiera oryginalne nagrania występów i filmów Bodo.

Informacja o filmie pochodząca od producenta.



„Bodo”, reż Michał Kwieciński, na zdjęciu Tomasz Schuchardt i Patrycja Kazadi



„Bodo”, reż Michał Kwieciński, na zdjęciu Partycja Kazadi

Kiedy w Toronto poznałam Jasię Jasińską – artystkę scen lwowskich, która podczas wojny przeszła szlak bojowy z Armią generała Władysława Andersa, dowiedziałam się od niej, że na początku wojny artyści pochodzący, lub przebywający we Lwowie zostali siłą wcieleni do zespołów stworzonych przez Rosjan, aby dostarczyć rozrywki żołnierzom Armii Czerwonej. Wspominała, że występowała z Eugeniuszem Bodo m.in. w Odessie. Potem nagle słuch o nim zaginął, nikt nie wiedział co się z nim stało. Po prostu zniknął. Zagadka rozwiązała się po wielu latach. W latach 90. Stanisław Janicki, historyk kina prowadzący m.in. telewizyjny cykl „W starym kinie” zaapelował do widzów, że jeśli ktoś kiedykolwiek miał kontakt z Eugeniuszem Bodo,

proszony jest o zgłoszenie się do telewizji. Przyszło mnóstwo listów. Wtedy okazało się, że artysta zginął w rosyjskim łagrze w 1943 r.. Nie objęła go amnestia, gdyż miał obywatelstwo szwajcarskie i nie mógł, jak wielu innych więźniów politycznych, dołączyć do Armii Andersa. W filmie pokazany jest też ten wojenny, tragicznie zakończony okres w życiu Eugeniusza Bodo.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.

*

*

„Nędzarz i Madame”

1 godz. 53 min., biografia, historia, dramat, 2021 r.

Reżyseria: Witold Ludwig

Scenariusz: Witold Ludwig

Zdjęcia: Julian Kucaj

Muzyka: Krzysztof A. Janczak

Obsada: Piotr Zajączkowski, Magdalena Michalik, Tomasz Błasiak, Lech Dyblik, Remigiusz Jankowski, Paweł Tchórzelski, Michał Chorościński, Marcin Kwaśny, Jarosław Gajewski.



„Nędzarz i Madame”, reż. Witold Ludwig

Słowo od reżysera

Przesłaniem filmu jest pragnienie wolności, które motywuje bohatera do działania i prowadzi do moralnego zwycięstwa. Pragnienie wolności doprowadza do tego, że przystępuje do Powstania Styczniowego, pozwala na ucieczkę z niewoli carskiej i powrót z wygnania politycznego we Francji. Jego „wolny duch” uczyni go także artystą-malarzem i pozwoli zasmakować sławy. Ale nawet wtedy czuje niedosyt i z czasem porzuca sztukę na rzecz wolności. Wkrótce „umiera dla świata” i trafia do klasztoru jezuitów. Jednak nawet tam jego buntowniczy duch dusi się w murach klasztoru. Rozdarty wątpliwościami załamuje się duchowo i, uznany za szaleńca, trafia do szpitala

psychiatrycznego. Wreszcie zakłada własny habit i zostaje Bratem Albertem. Wszystko to staje się osią fabuły filmu.

Losy Chmielowskiego kryją w sobie ogromny potencjał inscenizacyjny i dramaturgiczny: ciemne lasy powstania, kolorowe i rojące się salony i teatry, zatęchłe podwórka bezdomnych, mistyczny klasztor, ponury szpital psychiatryczny i epicki charakter – na tym tle film niesie uniwersalne przesłanie o wielkiej wartości humanistycznej i etycznej, takie jak afirmacja wolności czy prometeizm.

Integralnie przedstawione losy Chmielowskiego to temat oryginalny i nowatorski, który nie został jeszcze wyczerpany w kulturze. Adaptacje filmowe i teatralne: „Brat naszego Boga” zamknęły się w dramacie Wojtyły, nie dotykając biografii Chmielowskiego.

20 sierpnia przypada rocznica jego urodzin, a 12 listopada rocznica kanonizacji Brata Alberta. Zainteresowanie jego osobą odrodziło się w 2017 roku, który został ogłoszony rokiem Brata Alberta. Na film o dużym potencjale artystycznym i frekwencyjnym składają się: konwencja historyczna i kostiumowa, epoka powstania styczniowego, barwne epizody i znakomita obsada. Tytułowe role otrzymali młodzi aktorzy, którzy mieli już za sobą udane debiuty na dużym ekranie. Piotr Zajączkowski i Magdalena Michalik są perfekcyjnie obsadzeni w

rolach Adama i Heleny. Liczne odcinki zostały przekazane popularnym aktorom. Wśród nich są: Krzysztof Wakuliński, Radosław Pazura, Lech Dyblik, Marcin Kwaśny, Mariusz Saniternik, Jarosław Gajewski.

Witold Ludwig



„Nędzary i Madame”, reż. Witold Ludwig

Słowo od redaktora

Helena Modrzejewska, aktorka scen krakowskich i warszawskich, która osiągnęła wielki sukces jako aktorka szekspirowska w Stanach Zjednoczonych, skupiała wokół siebie wiele talentów i pomagała młodym artystom. Wielu z nich, oczarowanych jej urodą i wdziękiem traciło dla niej głowę. Jej warszawski salon był zawsze otwarty dla ciekawych osób. Urządzała słynne „wtorki artystyczne”, na których bywali:

Moniuszko, Sienkiewicz, Chmielowski, Witkiewicz, Chełmoński. Wszyscy oni wnosili do domu aktorki pewien koloryt i artystyczną atmosferę. Taką ciekawą „trójką” byli Chmielowski, Chełmoński i Witkiewicz. Przychodzili zawsze razem i wcześniej. Już na korytarzu oznajmiali swoje przyjście grą na fujarce. Chmielowski jako powstaniec styczniowy, uznawany był za bohatera i podziwiany. Tajemnicą poliszynela było, że Adam Chmielowski był bezgranicznie zakochany w Modrzejewskiej. Miał nawet wyjechać na emigrację, razem z grupą, którą organizowała Modrzejewska, ale nie pojawił się w porcie i nie wsiadł na statek.

W filmie pokazany jest okres powstańczy Adama Chmielowskiego, amputacja nogi, ucieczka w trumnie, potem emigracja do Paryża i kontakt z Władysławem Czartoryskim, który mu bardzo pomógł. W Polsce poszukiwaniom Chmielowskiego w znalezieniu właściwej drogi pomagają mu właśnie Helena Modrzejewska i Józef Chełmoński. Bohater przemierza różne miejsca, gdzie nocują bezdomni i poznaje ich historię. Niektórzy z nich to powstańcy, zesłani na Sybir, którzy cudem uniknęli śmierci i wydostali z piekła, ale we własnym kraju nie mieli dokąd pójść, nie mieli już nikogo. To dla nich późniejszy Brat Albert założył dom pomocy i to im poświęcił swoje życie.

Niezaprzeczalnym walorem filmu są przepiękne obrazy –

inscenizacje, żywcem przeniesione z malarstwa Józefa Chełmońskiego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.



„Nędzarz i Madame”, reż. Witold Ludwig

*

*

Więcej informacji na stronie

festiwalu: <https://www.austinpishfilm.com/>

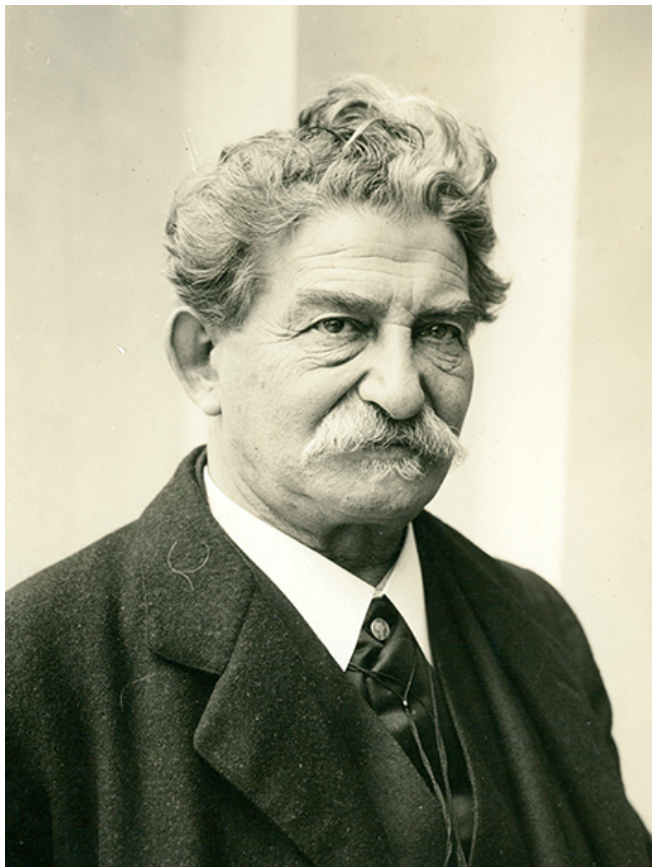
*

Zobacz też:

Życie piosenką usłane

Porcelana Modjeska i inne reklamy

Syberyjscy zesańcy w opowiadaniach malarza Aleksandra Sochaczewskiego



Aleksander Sochaczewski, fot. wikipedia

Aleksander Sochaczewski urodził się 3 maja 1843 r. w osadzie Iłów pod Sochaczewem. Od 1858 r. studiował malarstwo w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Od początku lat 1860. brał udział w manifestacjach patriotycznych, zajmował się też kolportażem nielegalnych wydawnictw. Został aresztowany 1 września 1862 r. i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono m.in. broń, formy do odlewania kul, tajną prasę itp. W rezultacie 24 kwietnia 1863 r. został skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na 20 lat katorgi na Syberii. Odbywał karę w warzelniach soli w Usolu koło Irkucka. Po kilku latach na mocy amnestii zamieniono mu resztę kary na zesłanie. Przez pewien czas mieszkał w Irkucku, później w Permie. Po powrocie z

Syberii w 1883 r. wyemigrował do Monachium, gdzie żył i pracowało wielu polskich malarzy. Później zamieszkał w Brukseli, a w 1901 osiadł na stałe w Wiedniu, gdzie zmarł w 1923 r. W 1913, w pięćdziesiątą rocznicę powstania styczniowego, po wystawie we Lwowie Sochaczewski przekazał radzie miejskiej Lwowa kolekcję obrazów w zamian za dożywotnią rentę. W 1956 r. Ministerstwo Kultury ZSRR przekazało Polsce kolekcję obrazów Aleksandra Sochaczewskiego. W setną rocznicę powstania styczniowego (1963), wyeksponowano kolekcję w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

(Na podst. wikipedii).

*



Aleksander Sochaczewski, W drodze na katorgę, ekspozycja stała
Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Anna Milewska-Młynik (1950-2018)

Aleksander Sochaczewski zyskał miano malarza syberyjskiej katorgi, gdyż pozostawił po sobie ponad 120 płócien stanowiących unikalną dokumentację losów zesłańców. Jednak nie wszystkim wiadomo, że artysta parał się również literaturą. Po powrocie z zesłania napisał kilka nowelek, w których sportretował ludzi napotkanych w Rosji. W 1906 roku berliński wydawca Richard Schott opublikował je pod tytułem *In Sibirien. Novellen von einem politischen Verbannten*.

W kraju książka Sochaczewskiego chyba nie wzbudziła szerszego zainteresowania, na co złożyło się kilka przyczyn. Z jednej strony

była ona trudno dostępna dla polskich czytelników, a z drugiej – niezbyt dla nich interesująca, gdyż w niewielkim tylko stopniu wzbogacała wiedzę o ludziach ukaranych za przestępstwa polityczne. Trzeba też dodać, że pod względem literackim ustępowała ona poczytnym i wysoko cenionym przez krytyków pracom, mieszczącym się w nurcie zesłańczej prozy.

Wydaje się jednak, że nowele zasługują na bardziej wnikliwe spojrzenie, ponieważ sporo mówią o ich autorze, pozwalając przede wszystkim poznać pewne rysy jego osobowości. Narrator, który jest jednocześnie uczestnikiem opisywanych wydarzeń, po swojemu je interpretuje, ocenia zachowania bohaterów, omawia rzeczywistość z typową dla niego wrażliwością na sprawy tego świata. Tym samym zaznajamia czytelników z własnymi poglądami moralnymi i społecznymi.

Nie mniej ważny jest fakt, że nowele pozwalają lepiej zrozumieć całą twórczość Sochaczewskiego, gdyż jego malarstwo i utwory literackie w pewnym stopniu uzupełniają się. Zawarte w nich treści dotyczą dwóch aspektów tego samego zagadnienia, koncentrując się bądź na rzeczywistości jawnej, bądź na niedostępnej dla większości postronnych osób. Dzieła malarskie ukazują bowiem zewnętrzny obraz syberyjskiej udręki, zaś nowele odtwarzają portret wnętrza cierpiącego człowieka.



Aleksander Sochaczewski, Branka Polaków do armii rosyjskiej w 1863 r., fot. wikipedia

Bohaterami swoich utworów literackich uczynił Sochaczewski wyłącznie Rosjan. Fakt ten może zastanawiać, ponieważ autora powszechnie uważa się za kronikarza martyrologii zesłanych Polaków. Jest to oczywiście opinia prawdziwa, gdyż Sochaczewski faktycznie kierował się przede wszystkim pragnieniem przedstawienia narodowej tragedii. Trzeba jednak dodać, że względy patriotyczne nie były dla niego jedynym źródłem inspiracji. Artysta nie zawłaszczwał Syberii dla cierpiących Polaków, ale malował całe zesłańcze otoczenie. W przedmowie do katalogu krakowskiej wystawy jego prac tak scharakteryzował swoje najwybitniejsze dzieło, zatytułowane „Na granicy Syberyi”:

Oto przedmiot mego obrazu: starałem się przedstawić rozmaite typy wygnańców w strasznej chwili (utrąty nadziei na odmianę losu). Są to skazańcy polityczni i zwykli zbrodniarze, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, różni wiekiem, pochodzeniem i stanowiskiem społecznym.

Wśród wykonanych przez Sochaczewskiego portretów, studiów i szkiców znajdujemy sporo postaci reprezentujących obce środowiska. Są to wizerunki rosyjskich zesłańców politycznych: Mikołaja Czernyszewskiego, Piotra Zajczniewskiego, Afanasija Szczapowa, przedstawicieli arystokracji narodów podbitych: książąt Yoppe-Beya z Zakukazia i Kajsakowa z Niziny Turańskiej, a także kupca moskiewskiego, Rusinek, włóczęgi – „brodiagi”, handlarza – „majdańczyka”, sekciarza – sobotnika Prokopa, rosyjskiego chłopca – „desperaty”, Wańki rozbójnika czy szubrawca.

Sochaczewski napisał, że bohaterów jego prac łączy „ten sam niezmierny ucisk moralny”. Wydaje się, że to właśnie stwierdzenie jest niezwykle istotne dla zrozumienia całej twórczości artysty.

Po powrocie z zesłania i krótkim pobycie we Lwowie, Sochaczewski wyjechał na stałe za granicę. W tym właśnie okresie powstały jego najważniejsze obrazy i nowele. Zawarte w

nich treści niezbiecie dowodzą, że mimo upływu lat nie potrafił uwolnić się od emocjonalnego przeżywania Syberii. Biografie artysty – Helena Boczek i Beata Meller, na podstawie relacji jego ówczesnej żony Róży napisały, że Sochaczewskiego prześladowały lęki i przywidzenia.

W środku nocy zrywał się z opętańczym krzykiem, czasem chwycił za broń, biegał po sypialni, a kiedy powracała świadomość, zamykał się w pracowni, brał pędzel do ręki i malował przez kilka, a czasem kilkanaście godzin. Nie jadł, nie spał i do nikogo się nie odzywał. Powstawały w tym czasie portrety ludzi, z którymi odbywał katorgę. Aleksander zwierzał się przyjaciółom, że ciągnąca się latami beznadziejna samotność, bezradność wobec zła i przemocy, i związany z tym nieustępliwy strach, uczyniły w jego psychice nieobliczalne spustoszenia.

Ogarnięty obsesją artysta zapewne nie mógł podejmować w swojej sztuce tematów obojętnych. Dlatego jego dzieła nacechowane były cierpieniem, którego źródło wypływało z syberyjskich doświadczeń. Uczuciu temu podlegali wszyscy skazańcy, niezależnie od ich narodowości czy pozycji społecznej. Część z nich ponosiła zasłużoną karę za popełnione zbrodnie, inni cierpieli za winy, które w oczach Sochaczewskiego znajdowały moralne rozgrzeszenie. Jak się wydaje, artystę

interesowali przede wszystkim ci ostatni. Na zesłaniu spotkał zbrodniarzy, którzy z natury byli ludźmi etycznymi. Dla nich piekło syberyjskiej katorgi stanowiło kontynuację nędzy istnienia na wolności. Ludźmi tymi byli właśnie Rosjanie – bohaterowie nowel syberyjskich.

Można się zastanawiać, czy we własnym środowisku nie znalazł Sochaczewski osób naznaczonych podobnym cierpieniem. Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli nawet spotykał takich ludzi, zapewne nie chciał opisywać ich moralnego upadku, gdyż Syberia stanowiła wówczas dla Polaków symbol męczeństwa najlepszych synów ojczyzny. Sochaczewski także pragnął utrwalić jej patetyczny obraz, czego dowodzi chociażby malarstwo artysty. Wydaje się również, że w swoim najbliższym otoczeniu rzeczywiście nie napotykał rodaków ciężko pokutujących za przestępstwa pospolite.

Stosunkowo niewielka grupa Polaków, z którą miał do czynienia na katordze i po uwolnieniu, stanowiła bowiem elitę wygnańców. Ludzie ci zostali ukarani za działalność patriotyczną, więc cierpieli w szlachetnej sprawie i mieli tego pełną świadomość. Ofiara poniesiona dla ojczyzny nobilitowała też skazańców w oczach otoczenia. W pewnym sensie kara więźniów politycznych była wyróżnieniem, gdyż stanowiła świadectwo najwyższego poświęcenia się dla idei.

Między ludźmi cierpiącymi za działalność polityczną i za czyny kryminalne istniała przepaść, spowodowana nie tylko różnicą moralnego osądu ich przestępstw. Skazańców tych dzieliła bowiem skala rozpacz.



Aleksander Sochaczewski, Wieczór – zakładanie kajdan, fot. wikipedia

Większość zesłańców politycznych nie rozumiała piekła doznań zbrodniarzy i co najwyżej ubolewała nad ciężkim położeniem kryminalistów. Sochaczewski należał tu do wyjątków, gdyż potrafił dostrzec dramat zdruzgotanych ciężarem grzechu winowajców. W noweli *Zamaskowany* przypisał zbrodniarzowi takie oto słowa:

Och ty! I ty kiedykolwiek zdawałeś się być uprawniony do tego, by gniewać się na swój los, za to, że w nagrodę za

twoją miłość do Ojczyzny, rzucił cię aż tutaj na Syberię do kopalni? O ty niewdzięczniku! Na kolanach powinienes Bogu dziękować za tę lekką dolę. Gdybyś chociaż miał tylko wyobrażenie o tej bezgranicznej nędzy, która wyprała nas ze wszystkiego i odczłowieczyła!

Sochaczewskiego jako pisarza interesował przede wszystkim dramat jednostki – ofiary panujących w Rosji stosunków społecznych. Osoby z drugiego planu są albo statystami, nie potrafiącymi skutecznie przeciwdziałać złu, albo wysłannikami, a może nawet egzekutorami losu. Postępowanie tych ostatnich sprowadza się bowiem do nieustannego prowokowania nieszczęśnika, wystawiania go na kolejne próby, które muszą zakończyć się jego klęską. Ich portret psychologiczny jest w gruncie rzeczy bardzo ubogi, gdyż ogranicza się do pokazania ważnej z dramaturgicznego punktu widzenia cechy osobowości. Wobec głównego bohatera są bezwzględnie źli, skrajnie egoistyczni i amoralni, zaś postępując okrutnie, nie przeżywają żadnych wewnętrznych rozterek. Na ich tle wyraziście rysują się tylko dwie obdarzone prawdziwie ludzkimi uczuciami postacie – współczujący narrator i cierpiący bohater.

Jedną z najważniejszych, jeśli nie główną myślą utworów Sochaczewskiego było twierdzenie, że nieszczęście może spotkać każdego. Nawet ludzie prawi, dokładający wiele starań, by

uczciwie przeżyć swoje dni, wpadają w pułapkę złego losu i tracą wszystko. Warto dodać, że ta koncepcja była bliska pojmowaniu występku przez szerokie warstwy rosyjskiego społeczeństwa. Siergiej Maksimow, autor książki *Syberia i ciężkie roboty* zwrócił uwagę, iż tamtejszy lud cechuje fatalistyczne pojmowanie losu człowieka, kształtowanego przez potężne złe moce, których pokonać nie można. Zdaniem Maksimowa „ta rozpacz, ten brak wiary we własne siły jako istoty rozumnej i niezależnej, do tego stopnia wzrosły w świadomość ludu, że popęd do zbrodni nazywał się nieszczęściem”, a zbrodniarza – człowiekiem nieszczęśliwym.



Aleksander Sochaczewski, Muzeum X Pawilonu Cytadeli
Warszawskiej



Aleksander Sochaczewski, Muzeum X Pawilonu Cytadeli
Warszawskiej

W nowelach Sochaczewskiego skrzywdzonymi i krzywdzącymi zarazem są różne osoby, choć nie wszystkie postacie zostały potraktowane z jednakową uwagą. Role głównych bohaterów przydzielał autor tylko pewnej grupie „nieszczęśliwych”. Byli to ludzie, których łączyła wrażliwa i dobra natura. Nad ich życiem zaciążyło jednak złowrogie fatum, doprowadzające niektórych z nich do zbrodni.

W opowiadaniach najbardziej tragicznymi postaciami są mordercy: Karp Iłarionowicz, Iwan Kiriłowicz Kaczugin i Stiepan Markowicz Kariagin. Dwaj pierwsi byli przedstawicielami niższych warstw społecznych – chłopem i synem pomocnika cerkiewnego. Historię ich upadku można postrzegać w kontekście niesprawiedliwości stosunków społecznych panujących w Rosji lub jako przejaw fatalizmu losu.

W poświęconych im utworach zawarł Sochaczewski wiele spostrzeżeń dotyczących relacji między poddanymi, a przedstawicielami lokalnych władz i szlachty, a także podawał przykłady bezkarności grup uprzywilejowanych oraz bierności krzywdzonych ludzi z gminu.

Najbardziej wyraziście zostały przedstawione te problemy w utworze *Nabożny mściciel*. Sochaczewski opisał w nim zamożnych chłopów, których zasobność „wyzwalała chciwość urzędników, isprawników (naczelników policji powiatowej) i innych urzędników”. W noweli czytamy, że obmyślili oni następującą intrygę: koło jednej z zagród podrzucili zwłoki człowieka, który zginął na bezdrożach Syberii z rąk nieznanych zabójców, a następnie oskarżyli mieszkańców sadyby o morderstwo. Jednym z obwinionych był główny bohater utworu, Karp Iłarionowicz. Na nic zdały się tłumaczenia chłopów, że są niewinni. Oskarżeni trafili do więzienia, zaś reszta wiejskiej społeczności nie potrafiła zdecydowanie przeciwstawić się

niesprawiedliwości. Zarówno w czasie aresztowania, jak i później, kiedy młoda małżonka Karpa próbowała wyjednać dla niego ułaskawienie, najbardziej bezwzględny i amoralny okazał się naczelnik. On to właśnie poniżał chłopów, deprawował kobiety, postępował obłudnie wobec łatwowiernych wieśniaków.

Karp z pokorą znosił przeciwności losu, dopóki miara nieprawości się nie przebrała. Kiedy dowiedział się, że naczelnik uwiódł mu żonę postanowił odebrać sobie życie. Jednak w momencie, kiedy próbował się powiesić, pojawili się pątnicy i uratowali go od śmierci. Niedoszły samobójca dostrzegł w tym zdarzeniu zrządzenie Opatrzności. Od tego czasu gorliwie się modlił prosząc o możliwość dokonania zemsty. Uznał bowiem, że jest narzędziem „Bożego sądu karnego”. I wreszcie jego pragnienie ziściło się. W pewien poniedziałek Wielkanocny Karp zamordował naczelnika.

Za swój czyn został skazany na katorgę do Usola, gdzie traktowano go z pewnym poważaniem. Cały czas wierzył, że zostanie wybawiony przez „oświeconego cara”, który zrozumie jego posłannictwo. Według relacji narratora „aż do ostatniego tchnienia miał nadzieję, modlił się i śpiewał hymny kościelne z żałosnymi, zawodząco brzmiącymi motywami”. Jednak od męki wybawiła go dopiero śmierć.

Druga nowela, *Śmiejący się Iwan* została oparta na podobnym

schemacie: osoba zajmująca wyższą pozycję w hierarchii społecznej krzywdzi człowieka niżej postawionego, co doprowadza do tragedii. Jej bohaterem jest Iwan Kiryłowicz Kaczugin, biedak cynicznie wykorzystywany i poniżony przez zdemoralizowanego syna dziedzica. Przez całe lata z biernym poddaniem znosił swój los, uznając, że nie ma prawa decydować o własnym życiu. Mimo to czuł, że dzieje mu się krzywda i z czasem na każdą kolejną wyrządzoną mu podłość zaczął reagować histerycznym śmiechem. Choć nie dążył do zemsty, kiedyś, pod wpływem silnego wzburzenia zabił swoich krzywdzicieli. Za ten czyn zesłano go na katorgę, zaś później przebywał w Irkucku, gdzie znany był jako Iwan Smiesznoj. Narrator określił go jako „człowieka zeszmaczonego, wyniszczonego, który tak bardzo był wyzbyty godności, że z udawania pomyłonego zrobił sobie zajęcie zarobkowe”. Podobnie jak bohater poprzedniej noweli Iwan cierpiał po ostatnie chwile swojego życia.

Ukazując mentalność i zachowania skazańców wywodzących się z niższych warstw społecznych oraz reakcje na zło ich najbliższego otoczenia, Sochaczewski trafnie wczuł się w psychikę tych ludzi.



Aleksander Sochaczewski, Pożegnanie Europy, zbiór Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Przy obelisku na granicy Europy i Azji grupa zesłańców należących do wszystkich wymienionych wyżej kategorii; jedną z postaci – blisko monumentu, po prawej stronie – jest Aleksander Sochaczewski.

Za panujące bezprawie nie obwiniali cara, ani podległych mu urzędników, nie próbowali też dochodzić swoich racji. By się ratować, uciekali się do sposobów odpowiadających oczekiwaniom ludzi, od których zależał ich los: błagali o litość, próbowali przekupstwa, zgadzali się na utratę godności. Uważali bowiem, że osoby wyżej postawione w hierarchii społecznej mają prawo krzywdzić biedaków. Sochaczewski podaje sporo przykładów potwierdzających ten sposób myślenia: matka Marfy Pietrownej, żony Karpa, była oburzona na córkę, że opierała się „jaśnie wielmożnemu panu, który przecież zastępuje cara”, wieśniacy nie rozumieli, dlaczego niesłusznie więziony sąsiad, po

wyjściu na wolność był przygnębiony, ojciec Iwana zbił go, gdy ten skarżył się na złe traktowanie przez szkolnych kolegów pochodzących ze szlachty. Na bunt mogły zdobyć się najbardziej zdesperowane i wrażliwe jednostki, jednak dochodzenie sprawiedliwości na własną rękę przypłacały obłędem i zesłaniem na katorgę. Ludzie ci zyskiwali uznanie otoczenia nie dlatego, że wymierzili winowajcy sprawiedliwą karę, lecz dopuścili się czynu odważnego, wręcz bluźnierczego, gdyż dokonali zamachu na usankcjonowany porządek świata, dzielący ludzi na panów i poddanych.

Zgodnie z tym rozumowaniem przeciwstawienie się istniejącemu stanowi rzeczy powinno podlegać surowemu społecznemu osądowi. Tak jednak nie było, gdyż zbrodnię uważano za objaw obłędu lub opętania przez diabła. Człowiek nie ponosił więc winy za popełniony czyn, ale wypełniał sądzony mu los. Popularne rosyjskie przysłowie głosiło bowiem: „Złodzieje nie rodzą się, a kogo diabeł omota, ten nie uniknie biedy i grzechu”.

W ostatniej noweli poświęconej zabójcy noszącej tytuł *Zamaskowany* Sochaczewski oskarża rosyjskie patriarchalne stosunki. Bohaterem utworu jest syn rosyjskiego generała, występujący pod przybranym nazwiskiem Stiepana Markowicza Kariagina. Zmieniając swoją tożsamość, próbował on uchronić przed hańbą dobre imię swojego rodu, ponieważ dopuścił się straszliwego czynu ojcobójstwa.

Tak jak w poprzednich nowelach, Sochaczewski nie potępia czynu swojego bohatera, gdyż ojciec Stiepana dokonał jeszcze okrutniejszego morderstwa, zabijając mu żonę i dzieci. Nie znajduje natomiast żadnego usprawiedliwienia dla starego generała, który planując na zimno zbrodnię „obnażył dzikość i surowość swojej prawdziwej natury”.

Po zabójstwie nie czuł żadnych wyrzutów sumienia.

Siedział spokojnie na krześle z wysokim oparciem [...]. Oczy jego były prawie przesłonięte przez opadające brwi. Połyskiwały spod nich tylko małe świecące punkciki, zupełnie jak u hieny.

Pobladłemu ze zgrozy i roztrzęsionemu synowi powiedział:

Nie potrzebujesz się wcale tak podniecać. Jesteś jeszcze młody. Już ja się postaram o to, żebyś miał i będziesz miał inną żonę – odpowiednią do twego stanu. A co się tyczy tych bękartów...

– tutaj zawiesił głos. Wtedy syn rzucił się na ojca z nożem – tym samym, którym zamordował on jego bliskich.

Historia Stiepana miała swój tragiczny finał. Kiedy narrator spotkał go w Usolu, mieszkał w „zwykłej dziurze wykopanej w stromym brzegu rzeki, w brudzie i ubóstwie”. Od dwudziestu lat zajmował się cumowaniem statków przybyłych z ładunkiem wapna. Kilka lat później, gdy narrator mieszkał już w Irkucku, dowiedział się, że na miejscu Stiepana pracuje jakiś garbaty.

Opisując historie upadku zwyczajnych ludzi, Sochaczewski ukazał szerszy problem, który stanowił źródło również i jego udręki – bezradność człowieka wobec zła i przemocy. Wymowa tych utworów jest zdecydowanie pesymistyczna. Bohaterowie nowel, wchodząc w konflikt z prawem tracili godność, spokój ducha, majątek i wolność. Ciężar, który musieli nieść, przekraczał ich siły. Sochaczewski negował tym samym chrześcijańską koncepcję, według której Pan Bóg doświadcza człowieka tylko takim krzyżem, jaki może udźwignąć. Swoim bohaterom odebrał też nadzieję na odpuszczenie win.

Choć Karp żarliwie się modlił i pokutował, nie miał szans na prawdziwe rozgrzeszenie, gdyż obrał fałszywą drogę i nie wyraził skruchy. Z kolei Iwan sam nie potrafił znaleźć dla siebie usprawiedliwienia i wiedział, że potworność dokonanego czynu będzie go dręczyć aż do śmierci. Stiepana Kariagina prześladowały natomiast myśli o zamordowanej żonie i dzieciach, o okrucieństwie ojca i własnej zbrodni.

Pesymistyczny wydźwięk nowel jest chyba najbliższy prozie Fiodora Dostojewskiego, który przedstawia egzystencję i przeżycia więźniów skazanych za przestępstwa kryminalne. Bohaterowie *Domu umarłych*, odbywający ciężką pokutę na katordze, również nie mają nadziei na moralne odrodzenie. Utwory Sochaczewskiego, pod względem tematycznym wykazują także sporo podobieństw do pisarstwa Włodzimierza Korolenki, który w swoich „obrazkach powieściowych” *Z Sybiru* tworzy wyraziste portrety włóczęgów, osiedleńców i skazańców. Jeszcze więcej łączy je ze *Szkicami* Adama Szymańskiego, ponieważ obydwaj autorzy zajmują się psychologią zbrodni. Szymański nadaje jednak swoim opowiadaniom wydźwięk humanistyczny, pisząc o skrusic, pokucie i nadziei na odpuśczenie win. Przepojone rozpaczą utwory Sochaczewskiego stanowią więc w polskiej literaturze zesłańczej pozycją wyjątkową.

Jak się wydaje są one wyrazem „nieobliczalnych spustoszeń w psychice” autora, spowodowanych jego syberyjskimi przeżyciami. Zesłanie zabrało mu młodość, nauczyło życia w samotności, podejrzliwości i w strachu, powracało w dręczących go koszmarach. Będąc na wolności nadal pozostawał „więźniem Sybiru”. Nie jest więc wykluczone, że zwątpił w możliwość pokonania zła.

Artykuł ukazał się w lutym, 2005 r. w „Liście oceanicznym”,

dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto.



Aleksander Sochaczewski, stała ekspozycja Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Dr Anna Milewska-Młynik (1950-2018) była znawczynią historii zesłań Polaków na Syberię w XIX i XX w., historii Kresów Wschodnich, opiekunką Sybiraków i Łagierników, których losy przybliżała przez lata w swoich licznych artykułach, wystawach i wykładach. Jako kustosz dyplomowany była wieloletnim pracownikiem Muzeum Niepodległości w Warszawie, twórczynią Kolekcji Sybirackiej, opiekunką kolekcji o Kresach Wschodnich. Dokumentując losy Polaków represjonowanych na Wschodzie, odwiedziła wiele miejsc na Syberii i w Kazachstanie – miejsc

zsyłek naszych Rodaków. Była m.in. w Workucie, Irkucku, Usolu Syberyjskim, na Wyspach Sołowieckich itp. (armiakrajowa-lagiernicy.pl)

[1] Aleksander Sochaczewski (1843-1923) właśc. Sonder Lejb. Studiował w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Od 1860 r. działał w organizacjach patriotycznych. W 1862 r. skazany na 20 lat katorgi. Pracował w usolskiej warzelni soli, później przebywał w Irkucku i we wsi Ajnok. Do kraju wrócił w 1884 r.

[2] Utworami wyróżnianymi przez literaturoznawców są dzieła Adama Szymańskiego i Wacława Sieroszewskiego.

[3] *Sybir. Wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Kraków 1900, s. 6.

[4] *Sybir...*op. cit., s.6.

[5] W 1884 r. zamieszkał w Monachium, w 1895 r. przeniósł się do Brukseli, a w 1901 r. – do Wiednia, gdzie pozostał do końca życia.

[6] H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski. Malarz syberyjskiej katorgi*, Warszawa 1993, s.28.

[7] A. Sochaczewski, *Na Syberii (Nowele politycznego zesłańca)*,
oprac. R. Schott, Berlin [1906] w tłumaczeniu B. Siebat,
maszynopis w zbiorach Muzeum Niepodległości, s. 92.

[8] S. Maksimow, *Syberia i ciężkie roboty (Sybir i katorga)*, cz.
2, Warszawa 1899, s. 6.

[9] Maksimow, op. cit., s. 6.

Miasto przemysłników



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

Czesław Sornat (*Austin, Teksas*)

Zahedan to miasteczko na wschodnim krańcu Iranu, znane jako miasto przemytników do... i z... Pakistanu. To miejsce, w którym rozkręca się wagony, żeby upchnąć cały przemyt, w każdą, nawet najmniejszą szparę. Dzięki Bogu nie ruszają lokomotywy, chociaż nie zajęło by im to zbyt dużo czasu. Myślę, że zapisanie całej strony nie wystarczyłoby, aby wymienić wszystkie przemycane towary. Zacznijmy od najbardziej kolorowych i największych zwojów lin do wspinaczki wysokogórskiej. Schowanie ich wymagało odkręcenia ścian wagonów, żeby

rozłożyć je równomiernie pomiędzy płytami.

No, ale co zrobić z tonami szarych materiałów w belach, w których tak się kochają Pakistańczycy? Przemysłowcy są kreatywni. Jeżeli owinać zazwyczaj chudych tubylców kilkadziesiąt razy materiałem, postawić ich potem delikatnie pod ścianami tak, żeby się nawzajem podpierali, to mogłoby nawet ująć uwagę przekupionych celników. Gorzej byłoby z wyrostkami, którzy po owinięciu tkaniną mogliby być tak szerocy jak wysocy. Do tego w turbanach dwukrotnie wyższych i szerszych niż ich głowy. Tych trudno było nie zauważyć. No, ale wtedy powinny zadziałać łapówki. Bo inaczej...



Łódzcy studenci z klubu „W Siną Dal” na wyprawie do Iranu, Zahedan, sierpień 1978 r. , fot. arch. Cz. Sornata

Wróćmy jednak do Zahedanu. Jest to gliniane miasteczko w środku pustyni na granicy irańsko-pakistańskiej, z jedyną linią kolejową. Należy dodać, że pociąg łączył Zahedan z Quettą (centrum Talibów) tylko raz w tygodniu.

W tym czasie Afganistan przeżył pierwszą rewolucję i przejazd przez ten kraj do Indii nie był możliwy. Pozostawał jedynie pociąg przemytników. Zdecydowało się na to dwadzieścia jeden szaleńców – Europejczyków. No cóż, szaleńców nie brakuje, szczególnie, gdy motywacją jest haszysz uprawiany w Indiach. Jednak dla nas, polskich studentów taka motywacja odpadała. Pozostawało szaleństwo i nieznanostwo realiów Azji południowo-zachodniej.

Muszę teraz cofnąć się w czasie, do momentu, kiedy wysiedliśmy w środku nocy na dworcu autobusowym w Zahedanie. Przejście dużej grupy Europejczyków przez źle oświetlone gliniane miasto, w poszukiwaniu dworca kolejowego, bez zwrócenia uwagi policji i wojska, było na granicy cudu.

Wcześniej czy później musieliśmy się znaleźć – na POSTERUNKU WOJSKOWYM! Co może być bardziej niebezpiecznego od oddziału żołnierzy z mózgami pełnymi oparów haszyszu i z amerykańskimi M-16 w dłoniach? Dodajmy do pełnego obrazu

grupe ponad dwudziestu białych turystów, (a może białych najemników...) środkiem nocy. Przeróżający scenariusz. Dzięki Bogu mieliśmy odrobinę zdrowego rozsądku i my, studenci z Łodzi, poszliśmy w niewielkiej odległości za wszystkimi. Nagle kilku białym przyszło do głowy odłączyć się od grupy i pójść w kierunku posterunku, żeby spytać się o drogę na dworzec kolejowy. Tego było już za wiele. Jak jeden mąż eskortujący nas żołnierze złapali za karabiny i z krzykiem rzucili się w naszym kierunku. Ich okrzyk mógł oznaczać "ręce do góry" – bo co innego mogliby w takim momencie mówić, jednocześnie waląc kolbami tych kilku głupio odważnych. Wszyscy inni padli na kolana i w przerażeniu czekali, który z żołnierzy pociągnie za spust. Niech los mnie chroni przed podróżowaniem z pewnymi siebie, choć tak naprawdę naiwnymi białymi turystami.



Bodyguards, Pakistan, Zahedan, Quetta, sierpień 1978 r. fot. arch. Cz. Sornata

Impas, klasyczny impas. Z jednej strony ci odważni, którzy zostali brutalnie zwaleni na ziemię, wraz z pozostałymi klęczącymi na kolanach, z rękami założonymi nad głowę. A z drugiej strony spanikowani żołnierze zastanawiający się czy już strzelać, czy jeszcze poczekać. I jak tu wyjść nie tylko żywym, ale jeszcze z HONOREM.

Koniec końców żołnierze pozwolili nam się oddalić baaardzo

powoli w pokazanym przez nich kierunku. Los się nad nami zlitował, bo idąc tak, dotarliśmy w końcu do dworca kolejowego.

Dworzec okazał się być odgradzony od miasta wysoką, na 8 stóp, metalową siatką uwieńczoną drutem kolczastym. Nasze marzenia o przespaniu się na drewnianej podłodze poczekalni dworcowej prysnęły jak bańka mydlana. Co więcej, u podnóża tych kilkusetmetrowego płotu, jeden przy drugim spali przyszli przemytnicy. Tylko co pewien czas widać było ogniki papierosów czuwających wartowników. Cóż mieliśmy zrobić, poszukaliśmy jakiejś dziury między śpiącymi i też położyliśmy się spać. Oj, jakie sny mieliśmy. Wszystkie kończyły się seriami z karabinów M16. Obudziliśmy się bardziej zmęczeni, niż kiedy się kładliśmy spać. Ale żyliśmy. I to było najważniejsze.

Nasi sąsiedzi już coś tam gotowali na przenośnych kuchenkach. Niektórzy z nieśmiałym uśmiechem zapraszali do skorzystania z ich obozowiska. Z radością je przyjęliśmy. Jeszcze nigdy przesłodzona herbata z glinianego kubka tak dobrze mi nie smakowała.



Iran, Zahedan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

Ludzie byli ciekawi co mogliby chcieć przemyścić Europejczycy. Przecież haszysz i marihuanę przemyca się na zachód. Więc co? Trudno opisać wyraz zdziwienia na ich twarzach, gdy próbowaliśmy przekonać ich, że NIC! NIC, takie najzwyczajniejsze NIC. Tego jeszcze nikt nie próbował tam przemyścić!

Nie przypuszczałem, że zbierze się wokół nas tak wielka grupa, żeby komentować nasze NIC. A ile radości im sprawiliśmy, to tylko oni wiedzieli. Jeszcze chwila, a przebraliby nas za błaznów i wystawili na najwyższym wzniesieniu dworca. No, ale kupiło nam to wariackie papiery i pełną tolerancję ze strony tych groźnie wyglądających brodaczy. Każdy miał karabin, niektórzy swoją

broń przewiązywali sznurkiem, i wielkie kindżały za pasami. Czuliśmy się jak w obozie Alibaby i 40 rozbójników.

No, ale wracajmy do poranka po obudzeniu się i wypiciu herbaty. Biegiem popędziliśmy, żeby kupić bilety do Quetty. A kupienie tych biletów było wyczynem na miarę wspięcia się na Kilimandżaro. Wiem o czym piszę, bo się na Kilimandżaro wspiąłem. Teraz pozostał jeszcze jeden dzień czekania i koczowania pod płótnem. No i w drogę.



Pociąg przemytników, Iran, Zahedan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

W międzyczasie pociąg został rozkręcony i skręcony wraz z tymi tonami przemycanych towarów. Dzieło sztuki inżynieryjnej najwspanialszych mózgów Iranu i Pakistanu. Potem przyszedł

czas szturm i walki o kawałek ławki czy podłogi. Ale wszędzie byliśmy przeganiani, aż skończyliśmy w ostatnim wagoniku. Okazało się, że był to wagon obsługi pociągu, więc zgodnie z przepisami mieliśmy być wszyscy z tego pociągu wyrzuceni, razem z naszymi europejskimi, przepłaconymi biletami. No, ale nagle w negocjacje włączyła się starszyzna plemienna i zaczęła przydzielać po kilku Europejczyków do każdego wagonu. Co, jak się później okazało, uratowało życie wielu ludziom. Wojsko nie strzelało na oślep w stronę wagonów, bo mogło niechcący trafić Europejczyka i tłumaczyć się potem różnym ambasadorom i politykom. Oj, to by już pachniało pakistańską Syberią. Więc jak się okazało wilk został zdrowy i żywy, a i owca cała dojechała do Quetty.

Piątka Polaków trafiła do wagonu wodza plemienia, któremu służba zbudowała coś w rodzaju tronu. Wokół stało kilkunastu uzbrojonych po zęby strażników. Tym razem wszyscy mieli AK47. Od czasu do czasu coś się dostawało nam z pańskiego stołu. To było dobre do czasu, gdy miejscowi nie zaczęli wyciągać woreczków z haszyszem i nie robić skrętów z gazety. Nasze początkowe nieśmiałe próby odmawiania palenia z nimi, trafiało na znaną nam z Polski logikę: "co, ze mną nie wypijesz?" A tutaj przy potrząsaniu kałasznikowami usłyszeliśmy, że odmówienie palenia nie wchodzi w grę.

Odmówić wodzowi plemienia, no to, to się jeszcze nie zdarzyło.

Nawet takim szczęściarzom jak my. Raz kozie śmierć!

Powiedzmy, że koza też pojawiała się w naszych halucynacjach, trzymających nas przez dwa dni. Korzyścią było to, że nie mieliśmy łaknienia i nie musieliśmy nic jeść. Gorzej było z pragnieniem. Z tego powodu przeżywaliśmy katorgi.



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

*

Byliśmy tak zamroczeni haszyszem, że nie za bardzo wiedzieliśmy co się wokół nas dzieje. Na szczęście, można powiedzieć. Gdy pociąg został otoczony przez duży antyprzemysłowy oddział wojska, bieganie, ganie, rozkręcanie wagonów, odwijanie ludzi, wyglądających jak radziecka mańkawstanka z nieskończonych metrów materiału, a nawet strzelanie,

było jakby poza nami. My w błogim półśnie, z uśmiechem przylepionym do ust, patrzyliśmy się na to wszystko jak na film. Co więcej film z innej planety. Błogosławiona nieświadomość i niepamięć.

Oczywiście długie godziny trwało rozkręcanie i skręcanie wagonów, negocjacje przywódców plemion z przywódcami wojskowymi, co i za ile łapówek może pozostać w pociągu i pojechać w głąb kraju. A i łapówki, i skonfiskowane przedmioty podreperowały portfele kiepsko opłacanych żołnierzy.

Tymczasem my w swoich okręcikach bujających w obłokach haszyszu nie zwróciliśmy uwagi, że nasza podróż zamiast trwać jeden dzień, trwała pełne trzy dni. No właśnie trzy dni, a my jedzenie i wodę mieliśmy na jeden dzień. Jak już wspominałem, z jedzeniem nie było problemu, ale umieraliśmy z braku wody. Na drugi dzień zatrzymaliśmy się na stacji w środku nicości. Wokół tylko kilka glinianych chatek, a na poboczu – zbiornik na wodę dla lokomotyw. Gdy już nasza lokomotywa się opijała do granic niemożliwości, to przyszła pora na pasażerów. Przy podstawie zbiornika był kranik i wiszący na metalowym łańcuchu mały metalowy kubek. I olbrzymia kolejka. Każdy dostawał kubek mętnej wody. Kubek chyba nigdy nie myty, a był przekazywany z rąk do rąk, a raczej z ust do ust. Mimo swojej mętności i czegoś tam pływającego, smak wody wydawał nam się smakiem najwspanialszego nektaru. Bo to była WODA! – prawdziwa

WODA! I to było najważniejsze! A obawy o bakterie, czy ameby? A kto by się przejmował, gdy wreszcie po przeszło dniu miał przed sobą kubek prawdziwej WODY! I musiał ją szybko pić, bo tłum czekający w kolejce, mógłby rozszarpać każdego, kto przedłużał dostanie się do tego życiodajnego wodopoju.

Gdy pod koniec trzeciego dnia wjechaliśmy niezbyt triumfalnie do Quetty, to radości nie było końca. Wszyscy Europejczycy zdecydowali się czekać na pociąg do Rawalpindi. I tylko niedoinformowani Polacy pozostali kilka dni w totalnie zmilitaryzowanej stolicy Talibanu. Ale te wydarzenia poczekają na następną opowieść.

Ponad sześciomiesięczna wyprawa klubu studenckiego z Łodzi „W Siną Dal”, 1978 r. Trasa: Polska, Związek Radziecki, Iran, Pakistan, Indie, Kashmir, Indie, Sri Lanka, Indie, Nepal, Indie, Pakistan, Afganistan, Iran, Związek Radziecki, Polska.



Iran, Teheran, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

✱

Zobacz też:

Zjawy z wyspy Rapa Nui

Wrzesień pełen wrzosów i... wojennych wspomnień



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

W tym miesiącu dość często, przez ostatnie kilkadziesiąt lat, jeździłem pociągiem do Puław, do Kazimierza nad Wisłą, do Nałęczowa. Kiedy pociąg zostawiał za sobą Jedlińsk zwykle zaczynałem intensywnie obserwować skraj lasów wypatrując pojawiających się co pewien czas szerokich połaci wrzosów. Tak, to kwitnące wrzosi nadały nazwę dziewiątemu miesiącowi roku. Zresztą miesiąc ten bywał niekiedy nazywany świętomichałski, od imienin Św. Michała przypadających na 29 dzień września. Albo też w niektórych regionach nosi nazwę „pajęcznik” – po prostu od babiego lata, od wlokącej się po krzewach, po roślinach srebrzystej „pajęczyny”.

Pierwszy września 1939 roku był przeze mnie wymarzoną datą. Miałem iść do szkoły podstawowej w Łagiszy; tornister był spakowany wzorowo. Tymczasem przyszło nam udać się na wrześniową tułaczkę zwykłą furmanką sąsiadów. Z Łagiszy przez Dąbrowę Górniczą, Łosień, Niegowonice, Bukowno – klucząc po leśnych wertepach – po paru dnia dotarliśmy przez Pieskową Skalę do samej Skały. Tam nas niemieckie oddziały zawróciły. Oto nastał czas okupacji. Zaczął się wyjątkowo dramatycznym widowiskiem. Wieczorem 11 września wróciliśmy z kilkudniowej tułaczki do domu. Kiedy wyszedłem na podwórze o szarej godzinie, uderzyła mnie okropna łuna unosząca się nad Zamkiem Piastowskim w Będzinie. To Niemcy palili synagogę, a wraz z nią kilkudziesięciu Żydów. To było moje pierwsze osobiste porażenie okupacją... Kolejne przyszło w postaci wieści ze

Wschodu. To nielojalny sąsiad 17 września zaczął „wyzwalać” „uciskanych” przez „polskich panów kresowych” Litwinów, Białorusinów i Ukraińców.

Przeżycia polskiego września znalazły duży odzew w polskiej literaturze. Dość wymienić – przykładowo – reportaż Zofii Petersowej *Wrzesień Warszawy 1939* (1946), Melchiora Wańkowicza artykuły publicystyczne *Wrzesień zagwiałcy* (1947), Jerzego Putramenta powieść *Wrzesień* (1952), wreszcie Jana Parandowskiego wspomnienia *Wrześniowa noc* (1962) oraz Wandy Melcer *Wrzesień kobiety* (1965). Wizję jesiennych wrzosów zabrał w pamięci do stalagu żołnierz września, Konstanty Ildefons Gałczyński, by po latach uformować ją w kształt poetycki *Pieśni o żołnierzach z Westerplatte*. Przede wszystkim polski wrzesień trafił – jako bohater – w świat ludowej pieśni ulicznej i podwórkowej. Pamiętamy, że w jednym z filmów powojennych Leonarda Buczkowskiego *Zakazane piosenki* uliczne śpiewaczki Alina Janowska i Hanka Bielicka śpiewały dziarsko piosenkę ze słowami Julii Ryczarowej: „Dnia pierwszego września, roku pamiętnego / wróg napadł na Polskę z kraju niemieckiego ...”.



Moneta upamiętniająca 70. rocznicę niemieckiej i rosyjskiej inwazji na Polskę w dniach 1 i 17 września 1939 r. oraz ostrzału polskiej bazy wojskowej Westerplatte w Wolnym Mieście Gdańsku, przód: popiersia trzech dowódców Westreplatte – por. Stefana Grodeckiego, kpt. Mieczysława Słabego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego, dar Narodowego Banku Polskiego, kolekcja Berlin State Museums, fot. Reinhard Saczewski, źródło [wikimedia commons](#)

Dramat września nieśli za sobą na Zachód nasi poeci, zwłaszcza skamandryci. Pisał o tym w *Abecadle wspomnień* Antoni Słonimski, relacjonował mi też te przeżycia wrześniowe Stanisław Baliński, gdy w czerwcu 1984 roku spędzałem z nim wiele godzin dziennie w Acton Hospital w Londynie. W lipcu 1984 Maria Kuncewiczowa w swojej „Kuncewiczówce” Kazimierskiej pokazywała mi miejsca, w których zegnała idących na tułaczkę Słonimskiego, Balińskiego, Wierzyńskiego i Tuwima

z żonami. Niebawem sama z mężem Jerzym podążyła ich
tułaczym szlakiem.

Okrucieństwo „czasów pogardy” ja i moi rówieśnicy
próbowaliśmy w jakimś stopniu neutralizować. Tworzyć rodzaj
antidotum. Chodziło o stworzenie klimatu „przedwojenności”,
normalności w świecie nienormalnym, w świecie – jak to określił
Kazimierz Wyka – „na niby”. Uczyliśmy się intensywnie historii
Polski; tej bohaterskiej; obyczaju naszych babć i
dziadków. Bawiliśmy się przysłowiami w rodzaju:

„Wrzesień jeszcze w słońcu chodzi, babie lato już się rodzi”;
„Burze we wrześniu nieraz wywrózą, że rok następny da zboża
dużo”; „Pierwszy września pogodny, w zimie czas wygodny”;
„Chodzi wrzesień po rosie, zbiera grzyby we wrzosie”; „Otóż
wrzesień, a więc jesień, gospodarze ręce w kieszeń”; „Gdy we
wrześniu tłuste ptaki, w zimie mróz nie lada jaki”; „Gdy wrzesień
z pogodą zaczyna, zwykle przez miesiąc pogoda
trzyma”; „Wrzesień miesiąc wyborowy, wyskoczył z trawy
borowik”; „We wrześniu tak jak w sierpniu, tylko dni są krótsze”;
„Gdy się wrzesień rozpoczyna, na majówkę gna rodzina”; „Kiedy
wrzesień, to już jesień, wtedy jabłek pełna kieszeń”.



Fot. pixabay

Twórczość Wincentego Pola – którego dosłownie pochłanialiśmy
– cała pachniała Polską, zwłaszcza *Pieśń o ziemi naszej* ze
zwrotką:

Coraz ciszej – Wrzesień! Wrzesień!

Słońce rzuca blask z ukosa,

I dzień krótszy chłodna rosa,

Ha! I jesień polska jesień!

Bliski też nam był Julian Tuwim. W wierszu *Kartofle* (tom *Rzecz Czarnoleska*) z wyjątkową maestrią oddawał w formie poetyckiej wykopkowo-ogniskowy nastrój jesieni w pejzażu rustykalnym, gdzieś nad brzegami płynącej swojskiej Pilicy:

Czujesz? Ogniskiem pachną te pogańskie lata,

Gdy iskrami trzaskały żagwie jałowcowe

I dym wełnistym kłębem za wiatrem ulatał,

I marszczyły się z żaru kartofle surowe.

(...)

I nigdy tak kartofel podany do stołu

Nie nęcił, jak ten właśnie, z przyswędem i węglem,

Łapczywie wytrącony patykiem-pocięglem

Z siwej, gorącej mąki leśnego popiołu.

Z dłoni go w dłoń przerzucać! dmuchać, bo gorący!

Parzy obłuskiwaną spieczoną łupiną!

Tknąc w sól z papierka! Wchłonać w usta chuchające,

Żeby się na skaczącym języku rozpułynał!

Łódkami się przez siwą Pilicę wracało,

Z prądem, z wiatrem, pod wieczór, pod zorzę wiśniową,

W milczeniu, zamyśleniu, z gorejącą głową.

Tak się ogień, popioły i smutek poznało.

Dziś – na szczęście – nie wszystko we wrześniu musi się kojarzyć z bólem, choć przecież pod koniec tego miesiąca, przed laty, dogasało powstanie warszawskie. Jak Feniks z popiołów bezustannie rodzi się nasze polskie życie tętniące przez lata, kwartały pór roku i przez miesiące. Teraz po latach grozy mój wrzesień znów się uśmiecha nitkami babiego lata w łagodnym już słońcu. Do tornistra pakuję książki, lecz już nie moje... Książki mej wnuczki Julisi. Coś się zmienia. Nie zmienia się jedynie zachwyt nad wrzosami przy torze kolejowym za Jedlińskiem...



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*



Zobacz też poprzednie artykuły z serii „Nasze miesiące”:

Lipcowe rocznice

Upojny klimat czerwca

Aleksandra
Ziółkowska-Boehm
laureatką nagrody
Przeszłość/Przyszłość
w kategorii Polonia

i Polacy za granicą,
przyznanej
przez Fundację
im. Janusza Kurtyki



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. Anna Karp

W dniach 26-28 sierpnia 2022 odbyła się finałowa gala konkursu Przeszłość/Przyszłość, podczas której ogłoszono laureatów. Pierwsze dwa dni zostały zorganizowane w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, ostatniego dnia uczestnicy mogli wziąć udział w spacerze historycznym oraz zwiedzić Bibliotekę im. Janusza Kurtyki.

Konkurs jest inicjatywą mającą na celu nie tylko dokonanie przeglądu, ale przede wszystkim nagrodzenie i upublicznienie najlepszych projektów promujących i upamiętniających polską

historię. Konkurs odbył się w pięciu kategoriach:

1. Upamiętnienie w terenie;
2. Dyplomacja publiczna i troska o dobre imię Polski w świecie;
3. Strażnicy Ksiąg (*księgarnie, antykwariaty, biblioteki, wydawnictwa*);
4. Innowacyjne formy edukacji historycznej;
5. Polonia i Polacy za granicą.

Ostatnia kategoria została wprowadzona w tym roku po raz pierwszy. Obejmuje ona wszelkie inicjatywy, które promują polską historię. Do konkursu w tej kategorii można było zgłaszać Polaków mieszkających poza krajem.



Fot. Wojciech Mosiołek

Magazyn „Culture Avenue” zgłosił mieszkającą w Wilmington, w stanie Delaware, Aleksandrę Ziółkowską-Boehm, autorkę książek historycznych, które wydawane są zarówno w języku polskim, jak i w angielskim, takich m.in. jak: „Kaja od Radosława”, „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon”, „Lepszy dzień nie przyszedł już”, „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści” czy „Wokół Wańkowicza”. W języku angielskim recenzje pisały tak znane osoby jak Zbigniew Brzeziński czy Lynne Olson i Stanley Cloud (autorzy „Sprawy honoru”). Za książki historyczne wydane w USA autorka otrzymała m.in. nagrodę Fulbrighta, czy też doroczną nagrodę literacką stanu Delaware. W swoich książkach Aleksandra Ziółkowska-Boehm pokazuje losy ludzkie z wojną w

tle. Jej bohaterowie uwikłani są w ciężkie sytuacje, podejmują trudne wybory. Są to autentyczne postacie, opowiadające swoje życiowe losy. Te historyczne przekazy mają też wartościowy walor literacki. Szczegóły z życia bohaterów i emocje im towarzyszące powodują, że czytelnik wczuwa się w przedstawiane postacie. Bohaterowie są tak pokazani, że ich historia staje się uniwersalna, a przez to bardziej przemawia również do angielskojęzycznego czytelnika. To najlepszy sposób, aby promować polską historię.

26 sierpnia miała miejsce debata p.t. „Czego nie widać z Warszawy? Polonia i Polacy jako ambasadorowie dobrego imienia Rzeczypospolitej”, w której wzięła udział m.in. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, a 27 sierpnia odbyło się uroczyste wręczenie nagrody. W imieniu laureatki z podziękowaniem wystąpił Czesław Czapliński, polsko-amerykański artysta fotografik, mieszkający na stałe w Nowym Jorku, autor portretów wybitnych osobowości współczesnego świata. Publikowany był wielokrotnie na łamach takich pism jak „The New York Times”, „Time”, „Vanity Fair”, „The Washington Post”, „Newsweek”, „Twój Styl”, „Viva”, „Rzeczpospolita” czy „Wprost”.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas)

redaktor magazynu „Culture Avenue”



Czesław Czapliński przedstawia podziękowanie w imieniu Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, fot. Wojciech Mosiołek



Czesław Czapliński odbiera dyplom w imieniu Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, nagrodę wręcza prezes Fundacji Paweł Kurtyka, z prawej prof. Jan Wiktor Sienkiewicz, członek kapituły konkursu Przeszłość/Przyszłość w kategorii Polonia i Polacy za granicą, fot. Wojciech Mosiołek

Podziękowanie Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm:

Serdecznie dziękuję Kapitulie za przyznanie mi tej nagrody. Cieszę się ogromnie otrzymanym wyróżnieniem, jestem wdzięczna, i także dumna.

Cenię sobie bardzo, że Patronem nagrody jest wybitny historyk Janusz Kurtyka. Pamiętam, że w 1989 roku czytałam jego

opublikowaną w podziemnym obiegu pierwszą wydaną w Polsce biografię Leopolda Okulickiego.

Nagroda między innymi zwraca uwagę na język polski poza Polską. – Język, który jest szczególnie drogi, gdy mieszkamy poza Krajem. Studiując polonistykę uczyłam się kochać literaturę, język, doceniać ludzi, którzy mi go w piękny sposób przybliżali.

Od ponad 30 lat mieszkam w Stanach Zjednoczonych. Mój mąż ś.p. Norman Boehm nie mówił po polsku, ale ogromnie cenił naszą historię. Jestem mu wdzięczna, że mnie zachęcał i wspierał dobrymi słowami, bym pisała o polskiej historii. Żeby świat się dowiedział.

To także język nas łączy, niezależnie od miejsca w którym mieszkamy.

Zacytuję Juliusza Słowackiego:

Polsko Ty moja!...

Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska

Pacierz, co płacze i piorun co błyska.

Za to, że kocham język polski, chcę podziękować swoim Rodzicom, swoim nauczycielom, profesorom. Chcę także wspomnieć wybitne postacie, które miałam szczęście znać – Melchiora Wańkowicza, profesora Władysława Tatarkiewicza, Ryszarda Kapuścińskiego i wielu innych.

Piszę po polsku, cieszę się, że moje książki pokazujące polskie losy, polską historię ukazują się w kraju, a także – w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych.

Na koniec zacytuję Melchiora Wańkowicza *Inwokację do języka*:

Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten nieodłączny, towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: **słowem** – patosem, że nagle staje się cisza, **słowem** – komikiem, który rozrzedził patos; **słowem** – wyzwaniem; słowem żądającym; **słowem** smacznym; **słowem** kolorowym; słowem pachnącym; **słowem** kojącym; **słowem**-zaklęciem, **słowem**-przekleństwem; **słowem**-wytrychem; **słowem** – tylko dla Ciebie.



Dworek „Milusin”, siedziba Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, fot. Maciej Szczepańczyk, źródło: wikipedia

*

Debata „Czego nie widać z Warszawy? Polonia i Polacy jako ambasadorowie dobrego imienia Rzeczypospolitej”:

*

Zobacz też:

Pisanie to honory, a nie honoraria

Odszedł wizjoner polskiej emigracji w Teksasie – biskup John Walter Yanta (1931-2022)

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Biskup John Walter Yanta to postać niezwykła. Potomek pierwszych polskich osadników w Teksasie, był dumny ze swoich korzeni i chętnie je podkreślał. Angażował się w wiele polskich projektów, mających na celu pielęgnowanie dziedzictwa polskiego i tradycji. Zaszedł daleko w hierarchii kościelnej, był pierwszym biskupem polskiego

pochodzenia w historii Teksasu.



Biskup John W. Yanta, fot. materiały prasowe, Panna Maria Polish Heritage Center

Jego pradziadkowie od strony matki przybyli do Teksasu z Górnego Śląska wraz z księdzem Leopoldem Moczygembą w 1854 r., a od strony ojca rok później. Byli to: Szymon Janta i Józefa (Josefa) Reyman, Kasper Kasprzyk i Maria Zielińska, Jan Polok i Anna Gorzel oraz Filip Dziuk i Maria Anna (Mary Ann) Moczygemba. Jego dziadkami natomiast byli: Walenty (Valentine) Yanta i Albertyna (Albertina) Kasprzyk, Wawrzyniec (Laurence) Polok i Katarzyna (Katherine) Dziuk. Rodzinna historia głosiła, że babka od strony ojca, Albertyna Kasprzyk, urodziła się pod słynnym dębem, nieopodal kościoła w Pannie

Marii, pod którym odbyła się pierwsza msza w Wigilię 1854 roku, odprawiona przez księdza Leopolda Moczygembę dla zmęczonych wycieńczającą podróżą pielgrzymów.

Rodzice John Andrew Yanta i Maria Magdalena Polok ślub wzięli w historycznym kościele Niepokalanego Poczęcia NMP w Pannie Marii - najstarszej polskiej parafii w Stanach Zjednoczonych. Mieli ośmioro dzieci. Przyszły biskup urodził się 2 października 1931 roku w małym miasteczku Runge w Teksasie, w pobliżu Panny Marii (ok. 20 minut jadąc samochodem), jako piąte dziecko w rodzinie. Jego dzieciństwo wypadło na trudny okres Wielkiego Kryzysu. Rodzice radzili sobie jak mogli, mając niewielką farmę, uprawiali warzywa oraz hodowali kurczaki i świnie na sprzedaż. Z braku wystarczających dochodów matka szyła dla dzieci ubrania z płóciennych worków przeznaczonych na paszę dla bydła. Od piątego roku życia młody John W. Yanta jeździł konno. Kiedy po latach farma przekształciła się w ranczo, ksiądz Yanta pomagał hodować i szczepić bydło swojemu ojcu.

John i jego rodzeństwo uczęszczali do szkół publicznych. Następnie przyszły biskup poszedł do Central Catholic High School w San Antonio. Tam podjął decyzję o powołaniu zakonnym i wstąpił do Seminarium św. Jana. Po trzech latach wrócił do domu, aby pomóc choremu ojcu w prowadzeniu gospodarstwa, ale po czasie wrócił do Seminarium. Święcenia kapłańskie przyjął w 1956 roku.



Najstarsza polska parafia w USA, w miejscowości Panna Maria koło San Antonio w Teksasie, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Ksiądz John Walter Yanta w latach 60. odegrał kluczową rolę w tworzeniu duszpasterstwa młodzieżowego. Założył San Antonio Neighborhood Youth Organization, przykładowy program finansowany przez władze federalne mający na celu pomoc młodzieży znajdującej się w trudnej sytuacji materialnej. Ten program walki z ubóstwem uznany został za jeden z najbardziej udanych i największych programów społecznych w Stanach Zjednoczonych. Ksiądz Yanta kierował także Biurem

Archidiecezjalnym ds. Świeckich i programem odnowy duchowej Lepszego Świata w całej archidiecezji. Był redaktorem Today's Catholic Newspaper i współzałożycielem oraz pierwszym dyrektorem wykonawczym Katolickiej Telewizji San Antonio (CTSA).

Jako ksiądz archidiecezji San Antonio był jednym z założycieli Polish-American Priests Association, potem przez wiele lat był sekretarzem tego stowarzyszenia zrzeszającego wszystkich polonijnych duszpasterzy w USA, a od 1990 r. jego prezesem. Utworzył też pierwszy oddział Kongresu Polonii Amerykańskiej w Teksasie.

W 1987 roku współorganizował wizytę Jana Pawła II w San Antonio.



Biskup John W. Yanta z papieżem Janem Pawłem II, fot. Panna Maria Polish Heritage Center

W 1994 r. Jan Paweł II mianował księdza Johna Yantę biskupem pomocniczym archidiecezji San Antonio. 30 grudnia został konsekrowany przez arcybiskupa Patricka Floresa, z biskupem Nossolem z Opola i biskupem Grahmannem z Dallas jako współkonsekratorami podczas ceremonii w kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NPM w Pannie Marii w Teksasie.

21 stycznia 1997 r. Jan Paweł II mianował Johna Yantę biskupem diecezji Amarillo. gdzie służył przez 11 lat i był znany ze swojej etyki pracy w odbudowie diecezji.

Kończąc swoją służbę w 2008 roku, biskup Yanta został emerytowanym biskupem i powrócił do San Antonio.

Biskup John W. Yanta wiedział, że ma polskie korzenie, ale nie znał szczegółów na temat swojego pochodzenia. Na początku lat 70. zaczął przylatywać do Polski, aby czegoś więcej się dowiedzieć o swoich polskich przodkach. W 1973 roku zorganizował wyjazd 54-osobowej grupy potomków pierwszych osadników z Teksasu na Górny Śląsk, aby zwiedzić miejscowości, z których wyjechali ich przodkowie. Zajął się też sprowadzaniem ze Śląska do Teksasu polskich księży i sióstr zakonnych, aby uczyli młode pokolenie tradycji i języka.

Na początku XXI wieku z jego inicjatywy powstała Fundacja Ojca Leopolda Moczygemby. Biskup Yanta został jej pierwszym honorowym prezesem. Zadaniem Fundacji było organizowanie wyjazdów pomiędzy Polską a Teksasem, spisywanie genealogii emigrantów ze Śląska, poznawanie historii i łączenie potomków rodzin po dwóch stronach oceanu.



Polish Heritage Center w Pannie Marii w Teksasie, na przeciwko kościoła, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po przejściu na emeryturę zaczęła krystalizować się też koncepcja utworzenia ośrodka poświęconego polskiej emigracji w Ameryce. W 2011 roku biskup Yanta kupił ziemię w Pannie Marii pod budowę Polish Heritage Center i założył Fundację. Tak powstał projekt muzeum polskich emigrantów w Teksasie, wraz z aktywnym zbieraniem funduszy. Odległa wizja zaczęła się materializować, zrekrutowano zespół kierowniczy i rozpoczęła się budowa Centrum Polskiego Dziedzictwa. Polish Heritage Center w Pannie Marii został oficjalnie otwarty w październiku

2021 roku. Podczas otwarcia biskup powiedział:

Nasi przodkowie imigranci dali nam początek, a ja, jako jeden z potomków, zdaję sobie sprawę, jaki mam wobec nich dług. Musimy przekazać historię ich wiary, osvajania nowej ziemi i przezwyciężania trudności przyszłym pokoleniom.(...) Wiedziałem, że Bóg chciał, abym coś zrobił: upamiętnić naszych polskich przodków i zachować przeszłość dla przyszłych pokoleń.

Działalność biskupa Johna Yanty na rzecz Polonii i polskiej historii w Teksasie została doceniona. W 2016 roku został odznaczony przez Polish American Council of Texas (PACT) nagrodą za całokształt działalności. Biskup Yanta był współzałożycielem i jednym z pierwszych prezydentów PACT (pierwszym prezydentem był Art Gmurowski). Celem organizacji jest poszerzanie wiedzy o polskiej kulturze oraz ułatwianie nawiązywania kontaktów między polsko-amerykańskimi grupami w Teksasie. Uroczystość wręczenia nagrody odbyła się 19 listopada w Kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NPM w Pannie Marii. Prof. Jim Mazurkiewicz, ówczesny prezydent PACT zauważył, że nagroda została ustanowiona, aby uhonorować osobę, której osiągnięcia wywarły znaczący wpływ na teksańską Polonię, poprzez propagowanie polskiej kultury i dziedzictwa w Teksasie.



Biskup John W. Yanta odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP, fot.

<https://www.mysoutex.com/>

W 2019 roku biskup Yanta został odznaczony przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę i Pierwszą Damę Agatę Kornhauser-Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP. Wręczenie odznaczenia odbyło się 13 czerwca podczas wizyty pary prezydenckiej w parafii Matki Bożej Częstochowskiej w Houston. Order nadawany jest tym cudzoziemcom i obywatelom polskim stale zamieszkałym za granicą, którzy swą działalnością wnieśli wybitny wkład we współpracę łączącą Rzeczpospolitą Polską z innymi państwami i narodami. Biskup Yanta otrzymał to odznaczenie za wiele inicjatyw w środowisku polonijnym, a w szczególności za jego wizję i wytrwałość w powstaniu Polish

Heritage Center w Pannie Marii.

*

Moje krótkie spotkanie z biskupem Johnem W. Yantą, miało miejsce 6 marca 2016 roku w San Antonio. Zostałam wówczas zaproszona przez Polish-American Center na uroczysty obiad z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych. Po części oficjalnej i tradycyjnym, świątecznym posiłku zaprezentowałam historię polskiego teatru w Toronto, o którym napisałam książkę. Mówiłam o walce, jaką toczą artyści, aby polska kultura na emigracji przetrwała i o jej znaczeniu w kształtowaniu młodego pokolenia. Zbierałam wówczas fundusze na wydanie książki, uroczystość wielkanocna była więc dla mnie okazją, aby spotkać się z dużą grupą Polaków w San Antonio i zaprezentować im historię tego niezwykłego teatru.



Prelekcja na temat polskiego teatru w Toronto, 6 marca 2016 r.
w Polish-American Center w San Antonio, fot. Jacek Gwizdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka rozmawia z biskupem Johnem W. Yantą, 6 marca 2016 r. w San Antonio, fot. Jacek Gwizdka

Biskup Yanta został przywieziony na spotkanie na wózku inwalidzkim. Nie wiedziałam wówczas kim jest, ale po zachowaniu innych wnioskowałam, że jest znaną osobą w Polonii. Po prelekcji miałam okazję z nim chwilę porozmawiać. Powiedział mi, że jest Polakiem i pochodzi ze Śląska. Mówił, że wiele razy był w Polsce, że wraz z grupą potomków zwiedzał miejscowości, z których pochodzili pierwsi teksascy osadnicy. Próbował mówić po polsku, ale po kilku wyrazach, wypowiedzianych z trudnością, przechodził na angielski. Pomyślałam, dlaczego tak słabo mówi po polsku, skoro się w Polsce urodził. Nie przyszło mi do głowy, że jest prawnukiem polskich emigrantów, skoro z taką żarliwością mówił o swoim polskim pochodzeniu. Na koniec rozmowy wręczył mi czek na wydanie książki. Całe zdanie powiedział po angielsku, ale jeden wyraz starał się powiedzieć po polsku: *wydanie książki wymaga wiele – cier-pli-wo-ści*. Wypowiedzenie słowa „cierpliwości” zajęło mu kilka minut, ale dzielnie walczył. Tak go zapamiętałam.

Biskup John Walter Yanta odszedł 6 sierpnia 2022 r. w swoim domu w San Antonio. Niech spoczywa w Pokoju!

*



Źródła:

<https://www.polishheritagecentertx.org/>

https://www.mysoutex.com/karnes_countywide/news/

<https://www.archsa.org/blog/>

<https://kosciol.wiara.pl/>

Wikipedia

Pudełko z Uchty



Poczta polowa, fot. Greg Montani, Pixabay

Ryszard Sawicki (Kalifornia/Namysłów)

*

Uchta jest miastem położonym nad rzeką Uchtą, w dorzeczu Peczory, w rejonie Komi, na drodze do Workuty. W 1966 roku miasto miało pięćdziesiąt jeden tysięcy mieszkańców. Jest to ośrodek eksploatacji i przeróbki ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Istnieje tam też przemysł metalowy, materiałów budowlanych i drzewny.

Pudełko zrobione jest z brzozonej kory, a jego dno i wieko są z brzozonego drewna. Pojedynczy płat kory nawinięto na obłe kawałki drewna, a końce połączono nacinając je w trójkąty i

wpuszczając jedno w drugie. Pudełko jest niemal kwadratowe, o wymiarach siedem na siedem centymetrów, ma prawie trzy centymetry grubości. Kora pociemniała z upływem czasu, jest w kolorze ciemnego ugru. Na ścianie bez trójkątnych cięć jest na pudełku napis: „ZSRR, Komi, ASRR, Uhta, 6.VII. 1940”.

Pudełko znalazłem wciśnięte pomiędzy papierowe torebki z monetami i orderami, w czerwonym kartonowym pudle, które włożone zostało do jeszcze innego pudła z listami, dokumentami i kilkoma albumami pełnymi zdjęć. Wszystkie te pudła z zawartością zostały przesłane z Chicago do Wrocławia kilka lat temu. Należały do zmarłego w 1996 roku Kazimierza Czerwińskiego, szkolnego kolegi mojego ojca Zbigniewa Romana Sawickiego. Na strychu w domu rodziców przeleżały do niedawna, raz tylko przeglądane, zaraz po otrzymaniu przez rodziców przesyłki. Dziś mam wolny dzień, nie tłumaczę, nie piszę, nie rysuję. To pierwszy ciepły dzień od dłuższego czasu. Ciepło jest również na strychu, więc można zaglądać w zakamarki. Skorzystałem więc z pogody, wydobyłem pudła pana Kazimierza ze strychu, otworzyłem je i tym razem dokładnie przejrzałem zawartość. Kilka pakietów listów przeglądałem szczególnie starannie, bo spodziewałem się znaleźć materiał do kolejnego artykułu o Syberii. Nie spodziewałem się jednak, że znajdę coś więcej. Pudełko z Uchty wpadło mi w ręce, gdy przechyliłem czerwone pudło chcąc wysypać jego zawartość na strychowy stolik. Ciężkie torebki z monetami i orderami były

ułożone dość ciasno, a pudełko z kory, puste, lekkie, leżało na samym dnie. Było schowane pod „Kalendarzykiem na rok Pański 1943”, wydrukowanym przez ojców Franciszkanów w Jerozolimie dla Domu Polskiego prowadzonego przez siostry Świętej Elżbiety. W kalendarzyku są rozmaite zapiski pana Kazimierza (Kazika, jak nazywa go ojciec). Są też wydrukowane fragmenty „Listu do Matki”, poematu „O Piaście Dantyszku” i innych tekstów Juliusza Słowackiego. Niektóre teksty czytałem jeszcze na strychu, zaraz po odstawieniu pudełka. Wydały mi się komentarzem do losów pudełka i jego właściciela.

Patrzaj ty na mnie: ot, taki jak jestem, widziałem Boskich na oczach aniołów; ot, taki nędzarz, brudny od popiołów, obmyty krwawym narodowym chrzestem, nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu, poszedłem na górę Syjonu, cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym na zakrwawionym Grobie Chrystusowym; za moje martwe syny się pomodlić, a tego przekląć co ważył się spodlić; za tych, co zabił tyran i zabija, zmówić na grobie Ave Maria... na te mogiły, gdzie leżą krwawymi, jerozolimskiej przynieść trochę ziemi i grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy, przysypać liściem srebrzystym oliwy, która Chrystusa uroszona łzami wyrosła drzewem litości nad nami („O Piaście Dantyszku”).

Nie wiem jak długo Kazik był w Ziemi Świętej. Domyślałem się, że

zdażył zwiedzić Jerozolimę. W kopercie z monetami palestyńskimi są metalowe krążki z dziurami po środku, (*five, ten, twenty mils*), dwa miedziaki bez dziur (*one, two mils*), jedna moneta o wartości pięćdziesięciu mil i jedna srebrna stu milowa. Dwie najstarsze, dwu i pięćdziesięciomilowe, pochodzą z 1927 roku, najmłodszymi są stumilowe, z 1940 roku. Zapewne wiele innych monet wydał Kazik kupując owoce na bazarach palestyńskich, rzucał je do kościelnych puszek lub dawał na tacę podczas mszy. Jako żołnierz polski w brytyjskiej służbie nie dysponował zbyt wielką gotówką, więc nie często wyjmował banknoty z kieszeni munduru. Monety przechowywał być może w pudełku z Uchty. Wchodząc do Świątyni Grobu Pańskiego mógł powtórzyć za Słowackim: *Patrzaj ty na mnie, ot taki jaki jestem, nędzarz... obmyty krwawym narodowym chrzestem.*

Jedząc soczyste owoce dojrziałe w słońcu Południa zapominał powoli o coraz bardziej odległej Północy. Zapominał? Czy można zapomnieć, choćby bardzo się chciało, okrutną niewolę? Czy można zapomnieć transport nieopalonymi bydlęcymi wagonami w głąb rosyjskiej, nieludzkiej krainy? Czy postój na jednej ze stacji, gdy otwarto ostatni wagon, do którego przenoszono w czasie podróży słabszych jeńców? Stali oni w kilku kręgach, objęci ramionami, martwi. Zamarznięci, scaleni. By uwolnić wagon dla innych więźniów, zamarznęte ciała cięto piłami, a fragmenty zwłok rzucono przy torach. Czy można zapomnieć ukąszenia rosyjskiej zimy, nawet mając usta pełne ożywczego

soku palestyńskiej pomarańczy? Czy można się kiedykolwiek zupełnie wyzwolić z takiej niewoli?

Pudełko z kory przypominało Kazikowi o tym co przeżył i jak przeżył. Chyba nie chciał by wszystkie wspomnienia się zatarły. W Iranie czy Palestynie był wolny, uwolniony z niehumanitarnej ziemi, lecz dwaj okupanci wciąż zajmowali jego ojczyznę, którą podzielili między siebie jak jabłko. Jak owoc, który spadł z drzewa w jednym z ogrodów we Lwowie, w jesieni 1939 roku. O lwowskich jabłkach i gruszkach, czereśniach i wiśniach, myślał też zapewne jedząc bliskowschodnie, słodkie owoce. A zwłaszcza o wiśniach z ogrodu moich dziadków przy końcu ulicy Łyczkowskiej, które zjadali z kolegą Zbyszkim, moim ojcem, nim obaj zostali żołnierzami.

Fragment listu Juliusza Słowackiego do matki mógł Kazik powtarzać siedząc nad Jeziorem Genezaret. Powtarzać, jakby to był jego własny list do bliskich we Lwowie.

Przepędziłem całą noc sam jeden w Grobie Chrystusowym, modląc się za Ciebie i naszych. Byłem w Betleem, w Jerycho, w Nazaret, nad Jeziorem Genezaretańskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma... zdawało mi się, że jego spokojna postać stoi zawsze na błękitnej fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołym niebem...

jaka to była chwila ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichym Genezaretańskim jeziorem, tego opowiedzieć nie mogę... Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że byłem przy Grobie Chrystusa i słuchałem Mszy odprawianej na nim za moją Ojczyznę.

W kalendarzu, pod innym krótkim cytatem ze Słowackiego, Kazik zapisał daty ze swej wędrówki ku wolności:

Dwudziestego sierpnia 1942 roku przejazd przez miasto Mrowy, 21 przejazd przez Aszchabad, 22 przyjazd do Krasnowodska, 25 przyjazd do Pahlewi.

Trzynastego maja 1942 roku mógł wysłać do Lwowa, już pod okupacją niemiecką, nie sowiecką, depeszę przez Czerwony Krzyż:

Jestem zdrow, powodzi mi się dobrze, dobrze wyglądam, wszystkich mocno całuję i serdecznie pozdrawiam, kochana Babuniu bądź o mnie spokojna.

A 25 listopada dostał odpowiedź na odwrocie tej samej depeszy,

pisana ręcznym pismem:

Jesteśmy wszyscy zdrowi, ogromnie się ucieszyliśmy wiadomością, Twoja Babcia tęskni bardzo i mocno Cię całuje jak i my wszyscy, całujemy Cię serdecznie.

Depesza Kazika była pisana na formularzu angielskim, z napisami po angielsku i niemiecku. Wiadomości spisane zostały po polsku. Pod czerwonym prostokątnym krzyżem biegł czarny druk

From War Organisation of the British Red Cross and Order of St. John, Enquirer. Name: Czerwiński. Christian name: Kazimierz. Address: Plut. Podchr. A. P. z Rosji Nr 4002.

Rubryki *Relationship of Enquirer to Addressee* nie wypełniono. Dalej wydrukowano: *The Enquirer desires news of the Addressee and asks that the following message should be transmitted to him.*

I po niemiecku: *Der Fragsteller verlangt Ankunft ueber den Empfaenger, bitte um Weiter beforderung dieser Meldung.*

Poniżej adres: Lemberg, ul. Mączyńskiego 21 m.6, distr. Galizien, General Government. Było też kilka pieczętek: ocenzurowano, examined by censor, oraz Delegat P.C.K. przy Armii Polskiej na Wschodzie. Potwierdzeniem tej depeszy była następna wysłana ze Lwowa 25 listopada 1942 roku, a doręczona plutonowemu podchorążemu armii polskiej z Rosji 7 grudnia 1942 roku. I ta depesza oznaczona była pieczętkami. U góry małą fioletową, prostokątną pieczętką: Deutsches Rotes Kreuz, Der Dennfrage beim Gergouverneur Dienststelle Galizien, Lemberg. Odręczny numer: 4873/1/42. Dalej drobny druk czarny: Antrag durch das Deutsche Rote Kreuz, Praesidium Auslandsdienst Berlin SW61, Bluecherplatz 2, am die „Agence Centrale des Prisonniers de Guerre“.

Niemieckie władze, w przeciwieństwie do angielskich, wymagały by wiadomość zawierała nie więcej niż 25 słów („Hoechtzahl 25 worte”). I była rzeczywiście krótka: *Cieszymy się, że jesteś zdrowy, my wszyscy zdrowi, pozdrawiamy cię i całujemy serdecznie, Babcia i cała rodzina*. Innej korespondencji z roku 1942 nie ma wśród papierów, które odnalazłem w pudle. Za to są listy od znajomych, od osób cywilnych, które tak jak Kazik ocalały po zsyłce na Syberię, ale zanim wróciły do sił by podróżować dalej, zostały skierowane do rozmaitych obozów przejściowych od Iranu po Indie. Jedną z nich była Helena Kurzejowa, nauczycielka, która w listopadzie 1942 roku przebywała w Teheranie. List z datą 20.XI.1942 dotarł do

adresata w styczniu 1943 roku.

Panie Kaziku! Za pamięć serdecznie dziękujemy. Nie odpisałam na list ani Panu ani Panu Michałowi, bo mi okazje uciekały, nie dopilnowałam. Teraz daję przez bliskiego sąsiada bo przyjechał do żony, która właśnie mieszka z nami w szalasie! Miło było czytać listy od swoich znajomych, że nawet poniekąd od swoich bliskich. Panowie bliscy i swoi. Żyliśmy się, to prawda, no ale teraz dzielą nas góry wysokie i dalekie. Mamy jednak nadzieję, że Bóg dobry da nam znów się zobaczyć w swoim kraju, do którego tak wszyscy tęsknimy. Może nadejdzie chwila, o której marzymy, wcześniej aniżeli nam się zdaje. Ja na przykład wołałabym tu przetrwać i stąd jechać prosto do Ojczyzny. Chociaż Afryka też ciekawa, ale droga trochę mogłaby być przykra. W ostatecznym razie wołałabym już węże zaklinać w Indiach, ale wybór, niestety, do mnie nie należy. Jak uznają za słuszne, tak będzie. Na razie nam to nie grozi, ale każdy miesiąc może coś nowego nam przynieść. Jak się Pan czuje w tej pustyni? Bo my to jak w mieście, na przepustkę do Teheranu możemy chodzić ile kto chce.

Miasto na ogół ładne, wszystkiego pod dostatkiem, byle mieć za co kupować. Gdyby tak można było mieć te pieniądze, które mieliśmy w Kilabie, to mielibyśmy tu raj. Można dostać

wszystko to, co u nas było w Polsce. Wokoło nas piękne góry, na których leży śnieg, dlatego i u nas zimno. Noce chłodne, ale zdrowe powietrze, czyste, mroźne. Czujemy się więc dobrze, byle tylko tak dalej było. No, Panie Kaziku, proszę trzymać się zdrowo i cało, wracać do Rodziny, do swoich. Jedźcie pierwsi, a my w ślad za Wami. Tymczasem ściskam serdecznie, Ciocia serdecznie pozdrawia, a jeśli wolno nawet i ściska, od Zosieńki serdeczne uściski i ładny dyg.

Tęsknotę do kraju łączyła Helena z nadzieją, że do Ojczyzny jest prosta droga. Wprawdzie liczyła się z tym, że czasy niepewne, *każdy miesiąc może coś nowego przynieść*, lecz nie wątpiła, że Kazik i jego towarzysze broni już są na drodze do Polski, jadą pierwsi, a cywile podążą wkrótce za nimi. W międzyczasie mogła się jeszcze pojawić na horyzoncie Afryka, ale to nie psuło nikomu dobrego nastroju, cieszyli się więc widokami pięknych gór ozdobionych czapami śniegu. Zimne noce nie były wszak nocami na Syberii, więc mróz nie był tak dotkliwy. A Kazik był już na pustyni, bliżej Morza Śródziemnego, bliżej *kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba* (C.K. Norwid, „Moja piosenka”). Tęskno też było im wszystkim *jeszcze do rzeczy innej, której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie, równie niewinnej*, lecz nie musieli bać się, że tęsknoty przyjdzie odłożyć na potem. Odległe potem, które jest *gdzieś na wszystkich ziemiach, jak w niebie, gdzie Polską,*

*Rusią, Litwą, Ukrainą, cało-Słowiaństwem wracają do Ciebie jako sztandary, kiedy rozwiną, sny, czucia, pieśni, i myśli, i czyny, do Ciebie, pieśni i czynów przy-czyny (C.K.N., „Bądź wola Twoja”). Na razie mówili sobie z nadzieją na jutro: *bądź wola Twoja, jak jest między nami, którym już wolno i cało-swobodnie*. Na razie Kazik był „już” na pustyni, a Helena „jeszcze” w pięknych górach Persji.*

Helena nie dowiedziała się chyba, jak Kazik „czuł się na pustyni”. W następnym liście, którego sama nie opatrzyła datą, ale który adresat otrzymał 14 maja 1943 roku (o czym świadczy jego odręczna notatka u góry pierwszej strony listu) pisze o tym, że od ich wspólnego znajomego, Michała, dowiedziała się o przeniesieniu oddziału, w którym służył Kazik w inne miejsce. List napisała z tego samego obozu pod Teheranem, czyli z „Delegatury MPOS, Obozu Cywilnego nr 1, szalas 15”.

Panie Kaziku! List Pański, za który naprawdę serdecznie dziękujemy, sprawił nam wielką przyjemność. Nie spodziewałam się już od Pana wiadomości gdyż, jak wiedziałam z listu Pana Michała, jest Pan zupełnie gdzie indziej. Ale muszę Pana skarcić. Cemu Pan robi sobie uszczerbek, przecież wiem, że Wy nie macie tego za dużo. Dziękuję bardzo, ale proszę myśleć o sobie więcej. Może Bóg da, że w Polsce jeszcze się spotkamy, to będę mogła się

zrewanżować. Naprawdę tak nieraz myślę o Was, tak się
zżyliśmy i tacy jesteście nam bliscy. Gdyby to można było tu
Was czym przyjąć, niestety odległość zbyt wielka. A tu inne
warunki niż tam były. Można tu dostać czego dusza
zapragnie, a tam nie było nic. Szczęśliwi jesteśmy, żeśmy się
stamtąd wyrwali. Wspomina Pan o Lidce, Panie Kaziku.
Trzeba się z tym pogodzić, że zmieniała ona miejsce pobytu,
zmieniała też znajomości i środowisko. Jednak tym nie trzeba
się przejmować, to jest życie, Pan jeszcze młody, trzeba być
twardym i silnym. Życie wiele uczy, szczególnie dzisiejsze.
Panie Kaziku, słyszał Pan pewno o tych, którzy byli w
Kozielsku. Proszę sobie wyobrazić, że i mój mąż tam był. Co
ja mam o tym myśleć? To jest dopiero los! Ale ja żyję
nadzieją, że tak być nie może. Mam nadzieję, że jeszcze się z
mężem zobaczymy. Panie Kaziku, gdy Pan napisze do nas,
proszę podać adres do swojej Rodziny w kraju, a ja stąd ich
powiadomię o Panu przez Polski Czerwony Krzyż. Sądzę, że
list jeszcze mnie tu zastanie, bo tak różnie jest z naszą
daleką wycieczką. Kto wie kiedy ona będzie. Proszę też
pamiętać, że jestem Helena, a nie Jadwiga, bo nie chcieli mi
wydać listu. Serdecznie pozdrowienia i uścisk dłoni od Cioci.
Proszę pisać. Dziękuję za wszystko, Helena.

Wiadomości do i od rodzin w kraju nie podróżowały łatwo.
Jednak rozmaite wieści krążyły po świecie ogarniętym wojną i

niewolą. Rodziny zaczynały się dowiadywać nawet o *tych, którzy byli w Kozielsku*. Nie opłakiwały ich jeszcze, bo wierzyły, iż *tak nie mogło być*. Więc modlili się wspólnie, rodzice, dzieci, żony: *Ty, pod krzyża stojąca boleścią, z ofiarą w sercu... jakbyś wewnętrznej męki potęgami stanęła wyżej śmierci... Matko Bolesna, módl się za nami*. Modlili się, czekali, wzajemnie wspierali i pozdrawiali.

Kazik dostał jednak wkrótce listy od Lidki. W notatniku, pod kolejnym cytatem ze Słowackiego (*Bóg naszych ojców i teraz jest z nami, więc nie dopuści upaść żadnej klęsce, wszak póki był z naszymi ojcami – byli zwycięsce*) napisał: *list z Teheranu otrzymałem 14.V.43, listy z domu 21.V.43, od Wiesi 31.V.43, od Lidki 3.VI, 22.VI i 5.VII. 43*. Pisał do Lidki i Heleny w tym samym dniu, 7 lipca. O jego bezpośrednich kontaktach z krajem świadczy kolejna depesza na blankiecie z niemieckim nadrukiem, instrukcjami i pieczętkami. Treść depeszy została napisana 24 lutego (pieczętka urzędowa jest z 19 marca) 1943 roku.

Kochany Kaziku! Dotychczas dostaliśmy od Ciebie jedną wiadomość, teraz paczkę, którą bardzośmy się ucieszyli i za którą serdecznie dziękujemy. Całujemy Cię serdecznie, razem z Babcią.

List Heleny i depesza od rodziny potwierdzają nie tylko to, że

doszły listy Kazika, ale i przekaz pieniężny i paczka. Ze swego żołądu, o którym Helena wiedziała, że *nie ma tego zbyt dużo*, potrafił oszczędzić tyle, że wystarczyło na wspomnienie jednych i drugich bliskich, zarówno tych we Lwowie, jak i tych w Teheranie. Żołnierz-tułacz miał swoje ograniczone potrzeby, ale je ograniczał jeszcze bardziej by pomóc innym, o których domyślał się, że jest im ciężko. Wprawilo to w zakłopotanie Helenę, ale wierzyła wtedy jeszcze nie tylko w to, że się zobaczą po wojnie z mężem, który „był w Kozielsku”, ale i w to, że za przekaz jaki dostała *zrewanżuje się w Polsce, kiedy się jeszcze spotkamy*. Wprawdzie wiedziała, że *życie uczy wiele, szczególnie dzisiejsze*, ale dodawała od razu, że *trzeba mieć nadzieję*. *Contra spem spero. Bóg naszych ojców i teraz jest z nami*.

Czternastego lipca 1943 roku Kazik dostał zawiadomienie o kursie strzelania artyleryjskiego dla młodszych oficerów grupy artylerii. Kurs odbył się w lipcu i w sierpniu, jak zanotował w swoim wojennym kalendarzu. Kolejny zachowany list Heleny (listy od Lidki się nie zachowały) nosi datę 29.VII.1943. Pożółkła koperta w miejscu znaczka ma okrągłą pieczętkę z napisem „Poczta Polska 130”, a obok data 31.VII.1943. Adres: ppor Kazimierz Czerwiński, Polish Forces, Persia and Iraq Force, No 571. Adres i cały list napisane są niebieskim atramentem (poprzednie czarnym). Kazimierz zanotował na marginesie listu, że przesyłka dotarła do niego 9.VIII.1943 roku. Tę datę ma też mniejsza pieczętka na odwrocie koperty „Poczta Polowa 118”.

Na dole koperty jest również notatka ołówkiem „written in Polish”.

Panie Kaziku! Najpierw pozwoli Pan, że mu złożę gratulacje z powodu awansu, który Panu chyba już dawno należał. Następnie chcę tylko tyle na usprawiedliwienie swoje napisać, że list z odpowiedzią na ostatni Pański list wysłałam i jestem mocno zdziwiona, że go Pan nie otrzymał. Z zasady odpisuję zawsze wszystkim, a tym bardziej nie miałabym powodu nie odpisywać Panu. Chciałabym jak najdłużej utrzymać łączność z Wami, kochani. Jak się Pan czuje? Czy wszystko złe minęło? U nas różnie, teraz zamiast trochę odpocząć po pracy bo mamy wakacje, to jestem na izbie chorych na malarię i Nusiek też. Ciężko nieraz, ale cóż robić – trzeba przetrwać. Panie Kazimierzu Kochany, wysłałam list przez PCK do Pańskiej Rodziny, ale ostatnio podano oficjalnie do wiadomości, żeby do kraju listów nie wysyłać, tak pewno i list ten nie dojdzie. Czy Wam bardzo ciepło dokucza? Nam też, ale musimy wytrwać. Wy pierwsi, a my za Wami wracamy do Ojczyzny.

Tak więc Kazik, już po kursie i awansie, mógł wędrować dalej przez Bliski Wschód, z nadzieją, że swoją umiejętność strzelania z armat wreszcie wykorzysta i utoruje drogę do Polski. Utoruje ją tym wszystkim, którzy w międzyczasie leczyli się w szpitalach

polowych, dochodzili do zdrowia by podolać trudom pobytu w innym klimacie i trudom wojennej podróży z wieloma przerwami, z długim oczekiwaniem. Oni, mężczyźni z oddziałów frontowych, „szli pierwsi”, a za nimi podążać miały ocalałe z łagrów kobiety i dzieci. I jemu i wszystkim innym dokuczały wprawdzie upały, lecz ożywiała ich nadzieja na to, że fronty się zmieniają, że coraz bliżej tułaczom do ojczyzny. Nie pozwalali, by im brakowało wiary. Może za dużo jej mieli, może nie powinni wierzyć bez zastrzeżeń, na przykład polowej poczcie, ale tak bardzo potrzebowali wiary, że nawet i poczcie wierzyli, chociaż powinni chyba uwzględniać zagrożenie iż jakiś list przepadnie, nie dojdzie. Nie potrafili więc uchronić się przed rozczarowaniem z powodu braku odpowiedzi, w listach pobrzmiewa nuta zdziwienia, a nawet pretensji. Cóż, jeszcze wiara ich miała wielką siłę, a zwątpienia w sens wędrowania i w sens wojowania do siebie nie dopuszczali. Na razie drobne to były rozczarowania, a samo wyjście z niewoli napawało optymizmem. Nawet na łóżku szpitalnym, w malarycznej gorączce, mówili wciąż sobie: musimy przetrwać, bo jesteśmy na drodze do ojczyzny. Ten „wielki zbiorowy obowiązek” przetrwania był przecież zbiorem niewielkich, czasem bardzo dziecinnych obowiązków. Takich, jak uczenie się w szkole, sprzątanie, przygotowywanie posiłków, przyjmowanie lekarstw, czy modlitwa. Aby przetrwać, nie ulec. Nie poddać się choćby lenistwu, czy chorobie. Bo to też wrogowie, tacy jak ci na froncie. Jak i ci, którzy zabijali głodem i katorżniczą pracą. Nikomu i niczemu nie wolno więc było ulec.

Zwłaszcza własnym słabościom. Skarżyć się można było tylko na upał, na klimat, nie na skromne wyżywienie, życie w szałasach. By przetrwać, dotrwać.

List z 24.VII doszedł do Kazimierza 2.IX. Obok okrągłej pieczęci poczty polowej jest też okrągła fioletowym tuszem, cenzora 103 oraz notatka „on active service”. Helena dziękuje z kolejną przesyłkę, ale tym razem już nie „karci”. Ma tylko wyrzuty sumienia, jest wdzięczna. I pisze: *My tu już po malariach, zdrowi, ale jak długo nie wiadomo*. Mówi też o wakacjach, że się kończą, ale gdzie zacznie się nowy rok szkolny, w jakim obozie uchodźców znajdzie się ich grupa, jeszcze nie wiedzą. *Wygląda na to, że Afryka aktualna, więc prawdopodobnie wybierzemy się na dalsze zwiedzanie świata*. Jednak to nie narzekanie na zmiany pobytu, bo *jak dotąd, te wycieczki nam się dość udają, tak nam przynajmniej piszą ci, co są już w drodze*.

Oni, ci słabsi, też pojadą jak tylko nabiorą sił po chorobach. A dzieci nawet cieszą się perspektywą zwiedzania świata. *My może napiszemy z Ahwazu. Nusiek najwięcej zadowolony z wędrowania. Jeszcze raz dziękuję, życzę zdrowia i powodzenia. Serdeczne uściski od Cioci i dzieci*. I rzeczywiście, kolejny list z datą 10.X.1943 jest już z Ahwazu (Obóz Przejściowy, Blok 3, Obóz B).

Znów jesteśmy w innym miejscu. Wybraliśmy się w dalszą podróż, ale niedaleko zajechaliśmy. Na razie siedzimy w Ahwazie, kiedy dalej wyjedziemy, nie wiemy. Ciekawam czy ten list podaży za Panem, bo przypuszczam, że jak inni tak i Pan, zmienił już swoje miejsce pobytu. Jak z malarią, bo ta naprawdę potrafi zniszczyć człowieka? Janusz, ten stary malaryk, już leży w szpitalu, nim zmienił powietrze. Zmiana niewiele mu pomogła. Może się wyleczymy, ale w naszym klimacie. Kiedy wreszcie nastąpi ten dzień szczęśliwy, że będziemy mogli wybrać się w drogę do Polski? Niech Pan wierzy, Panie Kaziku, że często jest tak, że nerwy nie wytrzymują, tylko jedyna nadzieja, że kiedyś może będzie inaczej trzyma przy życiu. Życie jest nieraz straszne! A może to tylko ludzie są tacy – nie wiem – wszystko jedno – dobrze byłoby już wrócić do swego, do swoich i żyć życiem trochę naturalnym. No ale dość, to taki mój nastrój dzisiejszy.

W Karachi poprawił się nastrój Helenie. Wierzyła, że to przedostatnia przystań w ich podróży do „miejsca przetrwania”. Dwudziestego czwartego lutego podała Kazikowi taki adres: Country Club, Polish Refugee Camp.

Panie Kaziku! Już długo nie pisałam do Pana, gdyż miałyśmy zmieniać miejsce pobytu. Jesteśmy teraz gdzie indziej.

Ostatni list od Pana otrzymałam jeszcze w Awhazie. To przedostatnia przystań naszej podróży. Stąd już będzie niedaleko do miejsca, w którym mamy przetrwać wojnę. Nie wiem też czy i ten list Pana zastanie, ale piszę na wszelki wypadek. Jeśli Pan go otrzyma, proszę pisać do nas na podany adres. Jeśli my zmienimy miejsce, też napiszemy. Ciekawam jak się Pan czuje? Nam jest tu bardzo dobrze. Na razie na nic nie możemy narzekać, chyba tylko na to, że nam trochę pada z góry, ale to przechodzi i znowu pogoda. Wyżywienie świetne, a owoców tu moc, takich jak banany, pomarańcze itp., więc nasza dzieciarnia nic już nie potrzebuje. Jeśli chodzi o materiały na ubrania, to można dostać do wyboru i koloru i w dość niskiej cenie. Gdyby nam tak było do końca wojny, to nie trzeba nam nic więcej. Ja jak zwykle pracuję no i parę rupii zawsze jest. Dzieciarnia się uczy i zdrowo bryka. Zosia już w drugiej klasie, a Janusz w szóstej powszechnej. Wiele serdeczności...

Przez kilka miesięcy wiosennych nie było odpowiedzi od Kazika na ten list, chociaż Helena wciąż była z dziećmi w Karachi. Jedenastego sierpnia skarży się na milczenie Kazika.

Dziwię się bardzo, co się właściwie stało, że Pan tak milczy. Pisałam już stąd równocześnie do Pana Michała i od Niego otrzymałam odpowiedź, a od Pana nie. Niepokoi mię to

trochę. Może zwyczajnie list nie doszedł, ten może Pan otrzyma, jeśli tak, to proszę zaraz odpisać. Jak się Pan, Panie Kaziku, czuje? My starym zwyczajem. Pracujemy, dzień schodzi nam szybko, miesiące mijają, tylko jedno co gorsze, to, że nie możemy doczekać wyjazdu do domu. Tak za tym już tęsknimy. Starczyłoby już nam tej tułaczki. Chce się już być ze swoimi blisko, a tak nic nie wiemy o nich, tak jak oni o nas nic nie wiedzą. Wprawdzie Indie mają wiele uroku, ale dziś na to patrzymy innymi oczyma. Na razie siedzimy w Karachi, może za jakiś czas zmienimy miejsce pobytu, ale w każdym razie w Indiach zostaniemy, więc prosimy pisać. Dzieciaki rosną, Janusz już duży chłopiec, a Zosię też nie wiem czy by Pan poznał.

Następny list (5.X.1944) jest już z „ostatniego etapu tułaczki”, z Valivade (Polish Refugee Camp, Kolhapur, Valivade, India, blok 159 I). Do listu dołączone jest małe zdjęcie Heleny z ciotką i dwójką dzieci, Zosią i Januszem. Janusz wciąż jeszcze jest wychudzony, może trochę z tego powodu, że sporo urósł, jest prawie tego samego wzrostu co matka i ciotka. Cała czwórka sfotografowana została na tle niewysokiej palmy i budynku z mocnymi kolumnami wspierającymi dach rzucający głęboki cień na prawie całą południową ścianę. Jednak nie jest to zdjęcie z Indii, ale z Awhazu, o czym informuje napis na odwrocie: *Persja, Ahwaz, 22.X. 1943, Panu Kazikowi dla wspomnienia, Hela z*

rodziną.

Jednak 5. X. 1944 roku może napisać z Valivade coś innego.

Ucieszyłam się szczerze Pańskim listem, gdyż wiele myśli nieraz ogarnia człowieka, bo wiem gdzie teraz jesteście i co robicie.

Helena wie o desancie morskim pod Anzio (15 – 18 lutego i 15 –

25 marca 1944), o bitwie pod Monte Casino. Drugi Korpus

Polski, w którym służył Kazik, staczał ciężkie bitwy, ponosił duże straty, było się o co niepokoić. Od losów tych polskich oddziałów

zależał w dużym stopniu los wszystkich polskich uchodźców z

Syberii. Życie, które polscy żołnierze narażali i oddawali na

Półwyspie Apenińskim, poświęcali i dla nich, polskich kobiet i

dzieci rozsianych po świecie. Z tego wszyscy zdawali sobie

sprawę. W kalendarzyku Kazika z 1943 roku jest i modlitwa o

Zwycięstwo Chocimskie:

Bądź pozdrowiona, Panno, Matko Boga, Ciebie wzywamy,

wspomóż zwalczyć wroga, ocal nam Polskę w tym srogim

frasunku, niechaj znów dozna Twojego ratunku, przyczyn się

Panno, niech z Twojej obrony zbawienie będzie dla Polskiej

Korony.

A fundator ojców Marianów, Stanisław a Jesu Maria Papczyński,

dodał taki komentarz:

Gaście pożary czyścicowe, bo oto tam, w płomiennej otchłani
goreją ojcowie i matki nasze, bracia i siostry, przyjaciele
wasi, obrońcy ukochanej Ojczyzny.

Zalęknionym o losy żołnierzy tłumaczył też Słowacki:

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu i szedł na święte kraju
werbowanie, ten de profundis z ciemnego kurhanu na trąby
stanie.

O tych, którzy walczyli i którzy polegli za sprawę Ojczyzny
mówił:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy i spać pójdziemy o
wieczornej zorzy, ale w grobowcach my jeszcze żołdacy i
hufiec Boży.

Podobne modlitwy i podobne myśli mieli wszyscy rodacy.

Dobrze, że Pan napisał, przynajmniej ucieszyłam się i
zaspokołam co do Pana. Panie Kaziku, niech Pan źle nie

myśli o prawdziwych przyjaciółach. Nikogo poza Panem i Panem Michałem nie mamy w wojsku, los Wasz jest nam tak drogi, jak chyba dla Was samych. Czytamy w gazetach, słuchamy radia – wiemy ile dajecie z siebie. Wy nam torujecie drogę, czyż Was nie kochać za to, czyż nie zasługujecie od nas przynajmniej na pamięć, bo coś innego Wam dać możemy – modlitwy i pamięć. Panie Kaziku, jedna prośba, jeśli Pan czasu nie ma, niech Pan nie pisze, ale jeśli znajdzie Pan wolną chwilę, choć parę słów o sobie proszę przesłać, proszę dać znać, że Pan żyje i jest zdrow, bo to dziś najważniejsze. Przepraszam z góry za niedyskrecję, ale jak tam z sercowymi sprawami – myślę, że te powinny być w najlepszym porządku, przecież do Was młodych świat należy! A teraz coś o sobie. Otóż, jak z adresu Pan się zorientuje, jesteśmy znów gdzie indziej. Jest to już ostatni etap naszej tułaczki. Tu mamy przetrwać czas aż do powrotu do Polski. Nie jest to już obóz. Jest to osiedle, powiedzmy małe miasteczko. Nie odczuwamy tu wojny wcale. Mamy wszystko, jeśli chodzi o żywność i ubranie. Osiedle pięknie położone w górach, mniej więcej na wysokości naszego Zakopanego. Klimat nawet możliwy, jak na Indie.

Mieszkania mamy rodzinami. Każdy dla siebie, nie tak jak w szałasach. Ja na swoją rodzinę mam dwa pokoiki i kuchenkę. No i skromne, ale niezbędne umeblowanie. Kuchnię prowadzi Ciocia, gotuje i pitrasi. Na wyżywienie

otrzymujemy gotówkę i za to wszystko kupujemy, o wiele lepsze to życie niż życie wspólne z kotła, tak jak było w obozach. Ludzie, którzy tu dawniej przebyli, czują się doskonale i świetnie wyglądają. I my mamy nadzieję, że się też poprawimy, jak tu dłużej pobędziemy. Ja na razie nie pracuję, zaczniemy po przerwie, która tu będzie przez październik, gdyż w tym miesiącu mają być jeszcze upały. Mamy też na miejscu kościół, świetlicę, salę teatralną, kino, no i kto co chce. Do miasteczka Kolhapur jest blisko i można jeździć, tylko muszę Panu dodać, że wszyscy leżymy na malarię, ale co najgorsze minęło, a potem będzie dobrze, tym proszę się nie przejmujemy wiele. Przepraszam, że tak się rozpisałam, ale chcę się z Panem podzielić wiadomościami, by Pan wiedział, że jest nam dobrze. Mocny i przyjacielski uścisk dłoni. Przesyłam zdjęcie amatorskie, ale jeszcze z Ahwazu, może sobie Pan nas przypomni.

List był napisany na gładkim, niebieskim papierze w linie. Koperta też była porządniejsza niż do tej pory, w kolorze różowym, z nadrukowanym fioletowym znaczkiem o wartości 8-as, z podobizną Króla Jerzego I i napisem: India Postage. Nadruk niebieskim tuszem: „For correspondence to H. M. Forces only; weight not to exceed half an ounce (do korespondencji wojsk J.M., waga poniżej pół uncji); Rank: p.por; Name: Czerwiński Kazimierz; Company, section, etc: C.M.F. Unit or appointment:

Polish Forces No. 571, c/o base air post depot, Karachi (stopień, kompania, oddział, itd... oddział lub przeznaczenie: Polskie Oddziały nr 571, przez pocztę lotniczą bazy w Karaczi). Znaczek był ostemplowany, z datą 6 października 1944 roku. Obok okrągłą pieczęć i nadruk: by air mail, par avion. U dołu koperty odręczna notatka: written in Polish (napisano po polsku). Na odwrocie jeszcze dwie okrągłe pieczętki: Base Office i druga nieczytelna oraz biała nalepka: Opened by Examiner (otwarte przez inspektora).

Nadeszła zima. Sytuacja na frontach Drugiej Wojny Światowej stawała się coraz pomyślniejsza dla Aliantów. W listopadzie Helena składa Kazikowi życzenia świąteczne, życzy „spełnienia marzeń”. Do listu z 17.XI. doszyte zostało białe-niebieskie serduszko wypełnione opłatkiem. Opłatek jest dziś pokruszony, jego cząstki szeleszczą pod palcami, ale materiał nie zmienił koloru, jest nadal mocny, tak samo jak nitka oplatająca serce. Dwa kawałki jasnego materiału wycięła Zosia w kształt serca i zszyła je niebieskimi nitką, grubą nitką.

Łamiąc się opłatkiem w gronie najbliższych, myślami jesteśmy z Wami. Łamiemy się opłatkiem i życzymy sobie wspólnie by nasze marzenia zostały zrealizowane jak najprędzej. Życzymy w pierwszym rzędzie zdrowia i szczęśliwego powrotu do Ojczyzny, do najbliższych. Oby od

tego Nowego Roku wszystko zmieniło się na nowe i dobre!
Co u Pana słyszeć, bo u nas po dawnemu. Żyjemy nadzieją,
że się wszystko wnet zmieni i będzie dobrze. Wiele
serdecznych pozdrowień śle Hela z Ciocią i dziećmi.

Wierzyli, że armia Polska podąży „z ziemi Włoskiej do Polski”.

Podczas i po bitwach na Półwyspie Apenińskim nie tylko Helena
z Valivade martwiła się o los podporucznika Czerwińskiego.
Martwiła się też rodzina we Lwowie. Aby zapobiec dalszym
zmarwieniom, Kazik wysłał 13 lutego i 21 marca dwie depesze
przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Podał taki adres: ulica
(rue, street, via) Sh. El Aziz Osman, miejsce, locality, localita)
Cairo - Zamalek, kraj (pays, country, paese) Egypt. Wiadomość
zawierać miała nie więcej niż dwadzieścia pięć słów.

Jestem zdrow, dziękuję za pozdrowienia i ucałowania. Mam
dużo szczęścia i wiele powodzenia. Serdecznie wszystkich
pozdrawiam i mocno całuję.

Depesza wędrowała do Lwowa przez Genewę i Berlin. Obok
cenzora egipskiego, swoje pieczętki odbili urzędnicy Czerwonego
Krzyża w Kairze, Genewie i Berlinie. Kazik otrzymał odpowiedź
dopisaną na obydwie depesze.

Kochany Kaziuniu! Jesteśmy wszyscy zdrowi. Tobie życzymy dużo szczęścia i zdrowia. Dałby Bóg żebyśmy się wszyscy zobaczyli. Całujemy Cię serdecznie i mocno, najwięcej Babcia (odpisano we Lwowie 17 czerwca i 3 lipca 1944 roku).

Korespondencja do okupowanej Polski docierała z większymi trudnościami niż z Valivade do miejsc postoju Drugiego Korpusu. Aby się upewnić, że Kazik otrzymuje wiadomości ze Lwowa, oprócz odpowiedzi na odwrocie depesz Kazika, rodzina wysłała własną depeszę 13 lipca 1944 roku, z tą samą treścią. Szła ona też długo przez ręce urzędników, ostatni z nich użył swojej pieczęci z czerwonym tuszem 12 września. W listopadzie poczta polowa na Bliskim Wschodzie przeadresowała kopertę na Wyspy Brytyjskie. Polski urzędnik wojskowy dopisał na kopercie: „użył do Anglii”. W międzyczasie Delegatura Polskiego Czerwonego Krzyża starała się pomóc swoimi sposobami. Pod koniec lipca wysłano z Kairu na adres „Polish Forces CMF 570” wiadomość o poszukiwaniu podporucznika Kazimierza Czerwińskiego przez rodzinę.

Otrzymaliśmy list dla Pana Kazimierza Czerwińskiego od Antoniny Seidel, Lwów, Mączyńskiego 21. „Dowiadujemy się o Twoim zdrowiu i powiedzeniu. Bardzo się tem martwię, że

nie dajesz o sobie znać. My jesteśmy wszyscy zdrowi. Pa, Kaziuniu, Babcia". Prosimy o zawiadomienie czy list ten dotyczy Pana celem ewentualnego przesłania go na Pana adres.

Przez następnych kilka miesięcy Kazik nie odpisywał na list świąteczny Heleny lub listy nie docierały do Indii. Helena znów się martwi. W liście z 21 kwietnia 1945 roku pisze o tym, powołując się na korespondencję z Panem Michałem, od którego dostała odpowiedź.

Panie Kaziku! Nie wiem sama co mam myśleć o tym. Ostatni list pisałam do Pana po przyjeździe na nowe miejsce pobytu, w którym mieliśmy przetrwać do końca wojny. Od wysłania listu do Pana upływa już kilka miesięcy, bo wysłałam go stąd w październiku ubiegłego roku. Pisałam w tym czasie do Pana Michała, od którego otrzymałam już odpowiedź. Ale co się stało z Panem? Tego nie mogę sobie wytłumaczyć. Niech Pan zechce zrozumieć, że myślimy o Was, jak o kimś bliskim, bo nic nas nie wiązało, a jednak byliście nam tak bliscy. Dziś los Pański obchodzi nas jakby Pan był z naszej bliskiej rodziny. A wiemy i zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, w jakich Pan teraz żyje warunkach i na co jest narażony. Janusz często mi przypomina, żeby napisać jeszcze raz do Pana, boi się czy aby się coś złego nie stało. Ale bądźmy szczerzy,

Panie Kaziku. Jeśli może Pan sobie nie życzy utrzymywać dalszej korespondencji z nami, to nie będzie mnie to wcale dziwiło, jeśli Pan otwarcie do tego się przyzna, a my tutaj będziemy przynajmniej spokojni o Pański los.

Może wprost Pan nie ma czasu na pisanie listów. Cokolwiek będzie powodem Pańskiego milczenia, na wszystko się zgodzę, byle tylko było szczere. Przepraszam za tę natarczywość z naszej strony, ale niech wiem przynajmniej co się z Panem dzieje. Zasyłam wiele serdeczności.

W sierpniu nadszedł jednak do Valivade długo oczekiwany list od Kazika. Na ten i kolejny, z lutego, odpowiada Helena 25 lutego 1946 roku.

Za list z sierpnia i ostatni z 28 lutego bardzo dziękuję. Dlaczego na poprzedni list nie odpisałam, bo, Panie Kaziku, nie chciałam się już narzucać swoją korespondencją. Jakiś czas była ona przerwana między nami, ale jeśli Pan sobie życzy, możemy nadal pamiętać o sobie. Naprawdę gdy szły boje, niepokoił się często o Was, o Pana i o Pana Michała. Z Panem Michałem utrzymujemy nadal korespondencję. Czy Panowie piszą do siebie? Przy okazji podaję Panu jego numer, może Pan nie ma adresu? M.S. Polish Forces, 309. Panie Kaziku, czasy teraz okropne. My

też czekamy na coś, co może zmienić sytuację na świecie, a tym samym dla nas. Bo przecież nie można się z tym pogodzić, żeby tak miało pozostać! To już przecież nie idzie tylko o nas Polaków, ale cała Europa jak wygląda? Tak być nie może! U nas teraz mówi się o zmianach. Ma nas wziąć w swoją opiekę U.N.R. Jak to będzie wyglądać, tego dziś nie wiem, ale mamy dostawać tylko na utrzymanie, a za pracę już nie ma być żadnych wynagrodzeń. Jedno tylko co nas wszystkich przeraża, to, żeby U.N.R. nie wywiozła nas tam, gdzie nie chcemy jechać. Bo mają nas stąd rozesłać, ale gdzie, dotąd nie wiadomo. Byle tylko nie do Polski, do takiej jaka teraz jest.

Co do Armii, to raz słyszymy o demobilizacji, to znowu coś innego, tak, że nie wiadomo w końcu co z naszym wojskiem będzie. A ono jest naszą jedyną nadzieją, bo dopóki jest nasza armia, to zdaje się, że i my jeszcze mamy jakieś znaczenie w świecie. A jeśli miałyby nastąpić demobilizacja, to co byłoby wtenczas z nami? Ale jakoś miejmy nadzieję, że wszystko obróci się na dobre! Jak Pan się czuje, Panie Kaziku? Jak Pan ze zdrowiem, bo to najważniejsze.

Przypuszczam, że w Szkocji chyba klimat odpowiedni? Ale co Pan pisze o rodzinie W. Wilczkiewicza, to chyba zwyczajna plotka, bo dowiedziałam się, że jest on z rodziną w Afryce. Gdy wyjeżdżałam z Teheranu z pierwszego obozu, on jeszcze tam został. Podaje Panu jego adres: Polish Red Cross, P.O.

Box 1882, Nairobi. Oni są w Makindu. Proszę napisać do Nairobi, a zaznaczyć, że są w Makindu. Nie wiem czy poznałby Pan teraz Zosię. Janusz już mnie przerósł, a ona dopędza. Lata idą, dzieci rosną, a człek się starzeje. Serdecznie pozdrawiam.

Radosne westchnienia z poprzednich listów „oby do Ojczyzny” zmieniły się na bolesne westchnienie „byle tylko nie do takiej Polski jak teraz”. Zdrada sprzymierzeńców, bezwzględność nowego najeźdźcy, którego oni, Sybiracy, już przecież dobrze znali, musiały powodować wielki ból. Z bólem powtarzać mogli tylko za Norwidem jego „Pieśń do ziemi naszej”. Do ziemi, gdzie znów świeci szubienica. I gdzie jest mój środek, moja stolica... trąd jad i brud. To od Wschodu: mądrość-kłamstwa i ciemnota, karnośći harap lub samotrzask z złota. A na Zachód? Kłamstwo-wiedzy i błyskotność, formalizm prawdy – wewnętrzna bez-istotność, a pycha pych! Czy więc mam czekać cię, Zachodzie – ty...!, ja głupi Słowianin? Tobie, Wschodzie znaczę dzień widzenia, gdy już nie będzie sumienia w ogromni twej. Południe! Klaszczesz mi, pomagasz cieszyć się, więc klaszczę tobie, twemu ciepłu i pięknu. Przyklaskujmy, póki możemy. A ciebie minę, o głucha Północy, i wstanę sam. Braterstwo ludom dam, gdy łyż osuszę, bo wiem, co własność ma – co ścierpieć muszę; bo już cię znam. Już was znam, Rosjanie i Niemcy! A zwłaszcza Rosjanie: biorący dziejów ludzkich poważną księgę jak tabuna grzywę...

Wy, to duża kolonia holenderska, której się Oryginalność śni, z dołu w meszty ubrana z Perska, Niemców mózg, pot – Słowian, misja – krwi... ależ Wy?! Nie Ruś wy – wy – Germany! Tak pisał Norwid „Do publicystów Moskwy”. Ból Norwida, gdy pisał te strofy, pomieszał się z bólem wielu tysięcy Polaków, którzy je czytali i wciąż na nowo odczytują. Tych, którzy poznali Syberię z książek i tych, którzy sami jej doświadczyli. „Pisałem oktobra 1868 roku w Paryżu”, odnotował Norwid pod swym wierszem do moskiewskich publicystów. Helena i Kazik mogli powtórzyć te same słowa pisząc do siebie w 1946 roku.

W bardzo zniszczonej, pozbawionej znaczka kopercie znajduje się list Heleny z 8 maja 1946 roku zaadresowany do porucznika Kazimierza Czerwińskiego, P. O. Box 260/15 (skreślono 15, dopisano 95), G.P.O. London EC 1.

List polecony z 21 maja otrzymałam, bardzo Panu dziękuję. Widzę, że Pan się przejmuje moimi listami i chce Pan nam przyjść z pomocą. Ale niech Pan mi wierzy, że nieraz człowiek nie chciałby pisać tego wszystkiego co w tej chwili czuje, by nie zatruwać drugim też nieraz niewesołego, bo na obcej ziemi, życia. Ale cóż robić, nieraz taki nastrój ogarnie człowieka, a jak się przed kimś wywnętrzy, to zdaje mu się, że lżej się robi na sercu. Ale proszę tym się nie przejmować i sobie uszczerbku nie robić, bo jak wygląda życie teraz

choćby w takiej Szkocji czy Anglii, to sobie można łatwo wyobrazić. Teraz na pewno spodziewacie się jeszcze więcej gości, bo jak głoszą, wojsko z Włoch ma być przerzucone do Anglii. Wyobrażam sobie jak to będzie tam dobrze. A co dalej – tego na razie nie wiadomo. Co z nami cywilami będzie to Bóg jeden raczy wiedzieć. Może pojedziecie (to znaczy wojsko) do Ameryki, a my... ale co się tu martwić, kiedy nic z tego nie wyjdzie.

Panie Kaziku, ucieszyliśmy się bardzo Pańskim zdjęciem, muszę dodać, że wygląda Pan bardzo poważnie, ale wcale nie źle. Nie mam na myśli „powagi” z racji wieku, bo tak źle na pewno nie jest. Zośka nie może sobie Pana przypomnieć, przecież to było jeszcze małe dziecko, a dziś ona już ma pretensje do „panny” choć jeszcze nie skończyła 10 lat. Acha, p. Lidka wyszła za mąż, jest we Włoszech.

Przypuszczam, że to Pana dziś nie bardzo wzrusza, bo chyba wiele się zmieniło, ale, przepraszam za żart, niech Pan Szkotki nie uszczęśliwia, bo one nie warte tego, a naszych panienek tyle czeka na koniec wojny. Za ten żart nie wolno się obrażać na mnie. Od Zośki i Cioci ucałowania, od dużego Janusza cześć.

Na zdjęciu z wojskowej legitymacji Kazik wygląda rzeczywiście „poważnie”. Na twarzy nie ma śladu uśmiechu. Może przejścia

wojenne ostatnich miesięcy, może trochę też rozczarowania osobiste, może inne jeszcze powody wpłynęły na to, że patrzy teraz wzrokiem surowym, silnym. Nie wiem czego mógł dotyczyć dopisek Heleny z kolejnego listu: *jak widzę, niezbyt dobrze się Pan czuje*. Kiedy przez trzy lata przemieszkowałem z nim pod jednym dachem w Chicago pod koniec lat siedemdziesiątych, nie skarżył się na żadną chroniczną dolegliwość wyniesioną z wojska. Nie wykluczone jednak, że coś umknęło mojej uwagi. Na fotografii zrobionej na ulicy jakiegoś dużego brytyjskiego miasta uśmiecha się wprawdzie, ale nie jest to uśmiech tak radosny jak idącego obok szkolnego kolegi ze Lwowa, Zbyszka Nowotnego.

Za list i przesłane w nim życzenia serdecznie dziękuję, napisała Helena 14.V.1946 roku.

Jak widzę z listu, niezbyt dobrze się Pan czuje. Nie wiem tylko dlaczego Pan się dostał do Szkocji? Bo jak się orientuję, to tylko jechali tam z Włoch Ci, którzy byli ranni, ale może się mylę. Panie Kaziku, co dalej będzie z nami, Polakami? Naprawdę sytuacja w tej chwili jest beznadziejna. Jeśli jakaś wojenka nowa nie wykroi się to będzie wszystko na nic. Choć z drugiej strony, gdy pomyślimy o tym ostatecznym naszym wyjściu, tj. o walce zbrojnej, to aż żal, że ta garstka żołnierzy, która pozostała przy życiu miałaby jeszcze złożyć wielką ofiarę, ale zdaje się, że to ostateczność, która może

nam dać wolność i kraj. Naprawdę już tak tęskno do Ojczyzny, ta tułaczka już się uprzykrzyła i co gorsza nie widać wcale jakiegoś dobrego końca. Ten klimat, warunki życia zdaje się coraz to gorsze, już człowiekowi nerwy odmawiają posłuszeństwa.

Dziś zdaje się biegłby człowiek do Polski, ale cóż, do tej teraz nam nie wolno, bo jesteśmy wojsko, emigracja. Czy to nie ironia losu? U nas od czerwca będą duże zmiany. Obejmują nas U.N.Ra. Przeważnie dotyczą te zmiany pracujących. Teraz tutaj dzielimy się na pracujących i niepracujących, ci ostatni nic nie tracą, zasiłek żywnościowy pozostanie ten sam. Natomiast nam, pracującym, odliczają za pracę, głupstwo – parę rupii na wydatki, ale jakie? Zresztą są ludzie, którzy gorzej mają, jak ci w Polsce, czy pozostali w Rosji. Tak trzeba myśleć, a będzie łatwiej przeżyć. Najważniejsze, że z głodu na pewno nie umrzemy, o resztę nie ma się czego martwić. Czy wiecie już może co Anglicy mają zamiar zrobić z Polakami? Widocznie jest to dość trudny orzech do zgryzienia. Nie tak widocznie łatwo puścić ludzi na pastwę losu, a może jeszcze liczą na to, że wojsko nasze przyda się na coś. Zdaje się, że Anglicy i Amerykanie nie wierzą w pokój, póki Stalin dyktuje warunki. Może doczekamy tej chwili gdy oni znikną z powierzchni świata – byle tylko jak najszybciej to nastąpiło. Ale trzeba, Panie Kaziku, być dobrej myśli i wszystko będzie dobrze. Ma Pan

może jakieś wiadomości z Polski o rodzinie? Życzę serdecznie przetrwania, od dzieciaków i Cioci uściski.

A więc zostały tylko życzenia przetrwania. Nie powrotu do ojczyzny, nie radości z ujżenia bliskich. *Jeśli mi Polska ma być archaiczną lub socjalizmu rozwinąć pytanie, to już ja wolę tę panslawistyczną, co pod Moskałem na wieki zostanie*, drwił Norwid w 1850 roku. Zapewne nie sądził, że i tę drwinę „rozwiną” zarówno obcy jak i rodacy. Jak i nie sądził, zwracając się „Do Moskali-Słowian” w wierszu przypisanym „braciom Warszawianom w upominku”, że mówi jak *mąż szczery: grzech, póki nie wyjawion – mocny*. Mówi nie tylko o Katyniu, ale i Warszawie. Nie tylko o stolicy pełnej więzionych i torturowanych, ale i pełnej gruzów, po nieudanym, a sprowokowanym, jakby na okrutną drwinę, powstaniu warszawskim.

Moskale bracia! Co w was jest szatanem, tegośmy na chrzcie polskim się wyrzekli, tego już wasza moc w nas nie rozwściekli; dał Bóg, że widmem to i odpoznanem; dał Bóg, i po to w świat my się rozwlekli... ale co pychą jego, to was trzyma, jak zabitego kolano olbrzyma, w miedź rudą zbroi zakowane trwalej; jak wielki odłam w drzewi zwalonej skały trzęsieniem ziemi o dobie północnej; jak grzech, co póki nie wyjawion – mocny!

List z maja, to ostatni list z Valivade, jaki odnalazłem wśród rzeczy Kazika. Inne są z Polski, z późniejszych lat i nie dotyczą losów zesłańców syberyjskich. Kazik został zdemobilizowany w 1947 roku. Z listopada 1946 roku pochodzi karta nr A 24092 zezwalająca porucznikowi Kazimierzowi Czerwińskiemu na pobyt w Londynie. Instrukcja dla zdemobilizowanych lub przeniesionych do rezerwy obowiązująca w Wielkiej Brytanii, Północnej Irlandii i na Isle of Man ma odręcznie naniesioną datę: 20 czerwca 1947 roku. Z 7 czerwca 1948 roku jest karta PCK informująca o przyjęciu do Polskiego Czerwonego Krzyża porucznika Kazimierza Tadeusza Czerwińskiego. W 1951 roku został wydany przez Brytyjskie Ministerstwo Obrony dokument zaświadcający o służbie wojskowej i przyznanych odznaczeniach. Są w nim podane informacje o służbie w polskich siłach zbrojnych pod brytyjskim dowództwem, od 1 kwietnia 1942 na Bliskim Wschodzie do 19 czerwca 1947 roku.

Brał udział w kampanii wrześniowej w Polsce, deportowany do Rosji, potem w Armii Polskiej w Rosji, od 9 września 1941 roku do 31 marca 1942 roku.

Medale polskie to Krzyż Walecznych, Krzyż Monte Casino; medale brytyjskie to Gwiazda Wojenna 1939-1945, Gwiazda Włoska, Medal Wojenny za lata 1939-1945, Medal Obrony. Honorowe zwolnienie ze służby nastąpiło 19 czerwca 1949 roku,

a od 1 kwietnia 1947 roku Kazik pobierał pieniądze z listy dla bezrobotnych. W 1951 roku został rezydentem, a potem obywatelem amerykańskim. Listy od rodziny z Polski były kierowane w 1947 roku na adres: Polish Board of Technical Studies, Chemistry Department, 4, Warwick Square, Victoria, London SW1, Great Britain. Indeks represjonowanych w ZSRR opublikowany przez Ośrodek Karta wymienia Kazimierza Czerwińskiego, syna Marii i Karola, urodzonego we Lwowie w 1916 roku w kategorii „jeńcy wojenni”. Areszt od 19.IX.1939 w Stanisławowie, przebywał w obozie w Krzywym Rogu na Ukrainie, potem, od 29.VI.1940 w Komi RA, Siewżełdołag, potem w Juży, Obłast Iwanowska, u Andersa od 2.IX. 1941 roku (Buzułuk). Kazik pracował w Stanach jako chemik w dużym laboratorium aż do przejścia na emeryturę. Nawiązał kontakty ze znajomymi w Polsce po roku 1956. Kilka razy był w kraju. Korespondował z narzeczonymi w Anglii, Stanach i w Polsce, ale nigdy się nie ożenił. Zmarł 5.X.1996 roku w Chicago i został pochowany na cmentarzu Maryhill, grób nr 14, blok 21, sekcja 5.

Pudła z ocalałym skromnym dobytkiem zostały dostarczone do Wrocławia na prośbę mego ojca. Nikt z jego rodziny wówczas już nie żył. Mój ojciec przyjaźnił się z Kazimierzem od 1926 roku, kiedy rodzina Sawickich przeniosła się z Kopyczyniec do Lwowa. Zbyszek Sawicki zmienił wtedy szkołę Powszechną w Kopyczyńcach na lwowską im. Marii Magdaleny. Chodzili do tej samej klasy. Kazik wspomina o pojawieniu się Zbyszka w szkole

w ten sposób.

Był luty, zimowa pogoda. W ławce zasiadł ktoś nowy, w dziwnym dziecięcym ubranku. Mało mówi, rozgląda się tylko jakby się obawiał czegoś lub kogoś. Gdy pani profesor przedstawiła go klasie, poczuł się normalnym uczniem.

W Jedenastym Państwowym Gimnazjum przy ulicy Szymonowiczów, przez osiem lat aż do matury przyjaźnili się, wracali razem do domu. Była ich mała, zżyta grupa: Zbyszek Nowotny, który oddzielał się w drodze powrotnej już przy ulicy Listopada (mieszkał koło sanatorium „Wisła”), Zygmunt Hoszowski kierował się na ulicę Świętej Teresy nr 3, a Kazik Czerwiński wchodził w ulicę Murarską, Zbyszek Sawicki szedł zaś jeszcze dalej, do budynku nr 37 przy ulicy Nabelaka.

Kazik miał smutne lata młodości. Wychowywali go dziadkowie i wujostwo. Ojciec wpadał czasem w odwiedziny. Miał trudną pracę w policyjnym wydziale politycznym. O matce Kazik nigdy nic nie mówił. Zmarła prawdopodobnie w dniu jego urodzin. Czasem ze smutkiem w głosie zwierzał się kolegom, że zazdrości im domu, rodziców i rodzeństwa. Powiadał wówczas, że rodzina to *najdroższy skarb od Boga, którego trzeba strzec i pamiętać by go nie stracić*. Był koleżeński, dokładny, a nawet drobiazgowy. Dbał o czystość i elegancję. Interesował się żywo

koleżankami, ale wyznawał żelazną zasadę, że wszystko w życiu powinno toczyć się bardzo wolno, a postępować należy z niezwykłą rozwagą.

Spisane w maju i czerwcu 2004 roku



Fot. Stefan Hoffmann, Pixabay